Jednota

3
1962

Ulica w Jerozolimie —►

PISMO RELIGIJNO - SPOŁECZNE

Naukowa sesja ekumeniczna

Sesja Naukowa Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej poświęcona problematyce Światowego Ruchu Ekumenicznego odbyła się — zgodnie z komunikatem w lutowym numerze „Jednoty" — w dniu 22 lutego w kaplicy Polskiego Kościoła Chrześcijan Baptystów w Warszawie. Zgromadziła ona ponad 250 uczestników. Program Sesji, trwającej od godz. 10 do 20 wypełniły: zagajenie J.M. Ks. Rektora Prof. Dra Wiktora Niemczyka, wykład Ks. Biskupa Prof. Dra Andrzeja Wantuły na temat „Współczesny Ruch Ekumeniczny Kościołów z aspektu teologicznego", wykład Ks. Biskupa Prof. Dra Maksymiliana Rodego — „Kościoły chrześcijańskie (ekumeniczne) wobec współczesnych spraw społeczno-gospodarczych i politycznych" oraz wykład Ks. Dra Aleksego Znoski, którego tematem była „Problematyka Światowego Ruchu Ekumenicznego na tle sytuacji kościołów prawosławnych".

Po wygłoszeniu wykładów i przerwie południowej nastąpiła dyskusja, w której zabrało głos ponad dwudziestu mówców. Dyskusja, świadcząca o aktualności zagadnień ekumenicznych zarówno wśród duchownych jak i świeckich wyznawców, koncentrowała się wokół problemów teologicznych, jako punktu wyjścia ruchu ekumenicznego oraz związanymi z tą sprawą problemami społecznymi dzisiejszego świata. Droga do jedności chrześcijan, która jest celem ostatecznym, wymaga głębokich studiów, cierpliwości i stosowania ewangelicznych nakazów Chrystusa w życiu i pracy zborów i kościołów.

Godne uwagi były dezyderaty uczestników, którzy postulowali szersze spopularyzowanie problematyki ekumenicznej wśród ludu kościelnego, włączenie do czynnej działalności ekumenicznej świeckich oraz pogłębianie teoretycznych studiów ekumenicznych, czego zaczątkiem była obecna Sesja.

Podając powyższe do wiadomości, Redakcja „Jednoty" — pisma ekumenicznego, pozwala sobie wyrazić na tym miejscu uznanie dla Ch.A.T. za zorganizowanie Sesji, dzięki czemu zagadnienia od dawna przez nas omawiane znalazły się w tej formie poraz pierwszy na naszym terenie, na warsztacie ekumenicznej placówki naukowej. Poprzez powiązanie pracy naukowej z praktyczną działalnością Kościołów, problematyka ekumeniczna zyska i u nas właściwe miejsce i znaczenie.

Wizyta przedstawiciela Światowej Rady Kościołów w ONZ

Dyrektor Komisji dla Spraw Międzynarodowych przy Ś.R.K. Dr Frederik Nolde złożył oficjalną wizytę nowemu sekretarzowi generalnemu ONZ U Tanth'owi. Przy okazji Dr Nolde przekazał generalnemu sekretarzowi Apel III Zgromadzenia Światowej Rady Kościołów, skierowany do rządów i narodów świata, który następnie został przekazany wszystkim przedstawicielom przy ONZ.

W NUMERZE m. in.:

- SZYMON CYRENEJCZYK — **Ks. J. Niewieczerzał**
- JERZY TRZANOWSKI — **J. Konar**
- W. A. VISSER'T HOOFT — **H. Walz**
- CHRZEŚCIJAŃSTWO WSCHODU I ZACHODU
- ROZWAŻANIA EKUMENICZNE — **Ks. R. Trenkler**
- NOWY CZESKI PRZEKŁAD ST. TESTAMENTU — **M. Bič**
- NOWE SPOJRZENIE KATOLIKÓW NA REFORMACJĘ — **Z. Wolański**

W kilku wierszach

— Kościół Anglikański Ugandy i Ruanda Urundi (Afryka), liczący 1 750 000 zwolenników, w tym 750 000 pełnoprawnych członków, uzyskał całkowitą niezależność.

*

— Biskup węgierskiego Kościoła Reformowanego Dr Tibor Bartha oświadczył po powrocie z New Delhi, że większość delegatów tego zgromadzenia doszła do przekonania, że droga do jedności „nie prowadzi przez usunięcie organizacyjnych, dogmatycznych i liturgicznych rozbieżności, lecz związana jest z problemem chrześcijańskiej służby i świadectwa".

*

— Kierownik zachodnio-europejskiego exarchatu Kościoła Prawosławnego w Paryżu, arcybiskup Basil oświadczył, że pojęcie jedności Kościoła rozwinięte przez Jana XXIII w ostatniej encyklice „Aeterna Dei Sapientia" daleko odbiega od stanowiska prawosławnego, co w świecie prawosławnym wywołało „zaskoczenie i smutek".

*

— Arcybiskup Canterbury Dr M. Ramsey zapowiedział, że w Kościele Anglikańskim nastąpi rewizja liturgii, która będzie dostosowana do liturgii używanej w Kościele Anglikańskim Kanady, Indi, Pakistanu, Burmy i Cejlonu.

*

— Nowowybrany prezydent Finlandii, Urho Kekkonen, jest wiernym członkiem Kościoła luterańskiego. Każdej niedzieli można go zobaczyć na nabożeństwie w tzw. Wielkim kościele (Suurkirkko) podniesionym w r. 1959 do rangi katedry. Kekkonen otrzymał doktorat honorowy luterańskiego Waterloo-uniwersytetu w Kanadzie.

*

— Honorowy prezydent Związku Kościołów Protestanckich Ks. Marc Boegner dokonał poświęcenia kaplicy na największym statku pasażerskim świata „France".

*

— Światowa Rada Kościołów udzieliła wydatnej pomocy finansowej i żywnościowej ofiarom strasznej katastrofy trzęsienia ziemi w Jugosławii. 70 000 ludzi pozostaje bez dachu nad głową.

*

— Szwajcarska misja w Południowej Afryce otrzymała anonimową ofiarę w wysokości 240 000 franków (60 000 dolarów), przeznaczoną na podniesienie emerytur dla misjonarzy.

Jedność
MIESIĘCZNIK RELIGIJNO-SPOŁECZNY
POŚWIĘCONY SPRAWOM EWANGELICYZMU POLSKIEGO I EKUMENII

ROK VI (XX) Nr 3

Warszawa 1962 r. Marzec

Ks. JAN NIEWIECZERZAŁ

SZYMON CYRENEJCZYK

A wychodząc znaleźli człowieka Cyrenejczyka, imieniem Szymona, tego przymusili, aby niósł krzyż jego.

Ew. św. Mat. 27, 32.

Okres pasyjny wprowadza nas na tę już ostatnią ziemską drogę Zbawiciela. Jezus, wykonawszy swe dzieło pośród ludzi, zbliża się do kresu, jakim jest krzyż Golgoty. Kalwaria Chrystusa od dawien dawna stanowi jeden z najsilniejszych bodźców wewnętrznego życia chrześcijanina, najpotężniejszy impuls do przeanalizowania swego stosunku do wiary, osoby i zbawczego dzieła Syna Bożego. Nic też dziwnego, iż owo wydarzenie jerozolimskie, które w konsekwencji stanowiło zwrotny punkt w życiu świata, wycisnęło swe piętno zarówno na bezpośrednich świadkach ukrzyżowania jak i na odczuwaniu niezliczonych zastępów wyznawców w wiekach późniejszych.

Kto może pozostać obojętny wobec tych strasznych chwil sądu, zachowania się kapłanów, Piłata i ludu jerozolimskiego żądnego krwi za każdą cenę? Któż przejdzie spokojnie obok wiszącego na krzyżu Jezusa w otoczeniu dwóch zbójców? I, choć dzisiejszy człowiek — doświadczeniem ostatniej wojny dostatecznie zaznajomiony z widokiem krwi, niesprawiedliwego sądu i okrucieństwa — inaczej przeżywa dramat Golgoty, to jednak umierający na krzyżu Jezus pozostanie na zawsze wyrzutem sumienia, powodem do skruchy i wezwania do nawrócenia się na Boże drogi sprawiedliwości, pokoju i miłości.

Nasz dzisiejszy tekst pokazuje nam owe cudowne drogi, którymi Bóg wstępuje w ludzkie serca. Niby nic nadzwyczajnego — ot, zwykłe słowa o Szymonie z Cyreny, przypadkowym świadku tragedii, który — jak gdyby na potwierdzenie prawdy, iż duch Boży wieje kędy chce — z obojętnego być może widza staje się naśladowcą i wyznawcą na śmierć skazanego. Niektórzy z was na pewno byli w swoim życiu świadkami tortur, męki i ostatnich chwil skazanych na śmierć. Wyczerpanie fizyczne i duchowe, pozorna obojętność, niekiedy zaś straszna rozpacz towarzyszą takim chwilom. Uczucie to potęgowane jest jeszcze poczuciem osamotnienia i bezsilności. I dziś jeszcze w uszach naszych brzmią słowa: „Boże mój, Boże mój, czemuś mię opuścił?"

Według zwyczaju, Jezus, jak każdy skazaniec, niesie sam swój krzyż na Golgotę. Nie musimy się zbytnio wysilać, by zrozumieć stan Jego ducha, by zdać sobie sprawę z otaczającej Go atmosfery. Jakąż ulgę stanowiłoby dlań jedno przyjazne słowo, odruch współczucia, czy też rozumiejące spojrzenie!

SŁOWO O KRZYŻU

„Wtedy rzekł Jezus do uczniów swoich: jeśli kto chce iść za mną, niech się zaprze siebie samego i weźmie krzyż swój i niech idzie za mną".

Mat. 16, 24

„I kto nie bierze krzyża swego i nie idzie za mną, nie jest mnie godzien".

Mat. 10, 38

„Idź, sprzedaj co masz i rozdaj ubogim, a będziesz miał skarb w niebie, i przyjdź tu i chodź za mną wziąwszy krzyż".

Mar. 10, 21

„Albowiem mowa o krzyżu dla tych, którzy giną, jest głupstwem; ale dla nas, którzy jesteśmy zbawieni, jest mocą Bożą".

1 Kor. 1, 18

„Ale my opowiadamy Chrystusa ukrzyżowanego. Żydom wprawdzie zgorszenie, a Gre-

Widziałem kiedyś film, którego fragment przedstawiał scenę drogi Jezusa na wzgórze trupich głów i ukrzyżowanie. Ten właśnie wycinek całości pozostawił na mnie najtrwalsze wrażenie. I nie tylko to: do najtragiczniejszych należał ów moment, kiedy Jezus, upadający pod brzemieniem krzyża i biczowany, nie miał już sił, by postąpić kroku, a towarzyszący Mu tłum wydawał dzikie okrzyki radości na widok fizycznego bólu, cierpienia i zupełnego wyczerpania. Nie znalazł się nikt z owego tłumu — wszak pomoc w tym przypadku stanowiłaby hańbę dla czci mieszkańców Jerozolimy — kto chciałby wziąć choćby na chwilę jarzmo skazanego na siebie. Dopiero żołnierze — widząc, iż Jezus na drodze upada, przymusili jednego z przygodnych widzów, by pomógł Mu w niesieniu krzyża. Był nim właśnie Szymon Cyrenejczyk, o którym czytamy, iż był ojcem Aleksandra i Rufusa i szedł z pola. Jego imię w ten sposób złączone zostało na wieki z Jezusem. Nie wiemy właściwie dokładnie, kim był i skąd pochodził. Być może był to jerozolimczyk, osiadły tutaj po powrocie z Cyreny, albo też mieszkał rzeczywiście w Cyrenie — bogatym mieście z dużą kolonią żydowską w Afryce, skąd przybył, wiedziony właściwą Żydom w diasporze tęsknotą, na święta do Jerozolimy. Przypuszczać należy, iż ten właśnie fakt zetknięcia się w najtragiczniejszej chwili z Jezusem miał dlań decydujące znaczenie. Szymon został uczniem Chrystusa — i wówczas, kiedy już ze swoją rodziną przeprowadził się do Rzymu, apostoł Paweł kieruje do zboru rzymskiego słowa: „Pozdrówcie Rufa, wybranego w Panu i matkę jego i moją". Wynika z tego, że syn Szymon odznaczał się wiarą, a i żona Szymona a matka Rufusa, również do zboru tego należała, przy czym oboje cieszyli się specjalnymi względami apostoła.

Rzecz godna zastanowienia: oto chwila największego poniżenia Jezusa, chwila, która w duszy przemocą zmuszonego do wzięcia udziału jarzma Jezusowego na swe ramiona mogła wywołać w Szymonie odruch buntu i gniewu na skazańca, staje się dlań momentem największego zbliżenia i uwielbienia potępionego! W tym momencie jesteśmy świadkami owego cudu królestwa Bożego, w którym sprawdzają się słowa proroka mówiącego: „Zaiste myśli moje nie są jako myśli wasze, ani drogi wasze jako drogi moje... Ale jako wyższe są niebiosa niż ziemia, tak przewyższają drogi moje drogi wasze, a myśli moje myśli

Dzisiejszy wygląd ogrodu Getsemane

kom głupstwo, lecz samym powołanym, i Żydom i Grekom, opowiadamy Chrystusa, moc Bożą i mądrość Bożą".

1 Kor. 1, 23—24

„Wiedząc to, że stary nasz człowiek razem z nim ukrzyżowany został, aby ciało grzechu było zniszczone, żebyśmy już więcej ni służyli grzechowi".

Rzym, 6, 6

„Ale ja, nie daj Boże, abym się miał chlubić, chyba tylko w krzyżu Pana naszego Jezusa Chrystusa, przez którego świat ukrzyżowany dla mnie, a ja dla świata".

Gal. 6, 14

„I pojednał obydwóch w jednym ciele z Bogiem przez krzyż, zgładziwszy nieprzyjaźń na nim".

Efez. 2, 16

„Ponieważ upodobało się Ojcu, aby w nim mieszkała wszelka pełność i żeby przezeń pojednał z sobą wszystko, uczyniwszy pokój przez krew krzyża jego".

Kol. 1, 19—20

„Który grzechy nasze sam zaniósł na ciele swoim na drzewo, abyśmy, obumarłszy grzechom, żyli dla sprawiedliwości, a przez sińce którego wyście uleczeni".

1 Piotra 2, 24

* * *

„Jezus ma obecnie wielu miłośników swego królestwa niebieskiego, lecz mało nosicieli krzyża.

Całe życie Chrystusa było krzyżem i męczeństwem a ty sobie wyszukujesz radości i odpoczynku? Zdecyduj się więc jako dobry i oddany sługa Chrystusowy na dzielne niesienie krzyża Pana swego, z miłości do ciebie ukrzyżowanego".

(Tomasz a Kempis)

wasze". Widocznie Szymon, uginając się sam pod brzemieniem, spotkał pełen zrozumienia i miłości wzrok Pana, który w nagrodę wyzwolił go z więzów myślenia pospólstwa, czyniąc go zarazem wolnym w prawdzie i miłości obywatelem innego już, Chrystusowego Królestwa. W konsekwencji on sam i jego najbliżsi staną się odtąd gorliwymi apostołami Ewangelii.

Owa paradoksalna zda się sytuacja, z której znaczenia nie zdawali sobie na pewno sprawy ani żołnierze, ani kapłani, ani tłum na drodze stojący, cechuje często i życie chrześcijanina. Jakże często stajemy w zakłopotaniu wobec nakazów Chrystusa, jak niekiedy buntuje się człowiek na dźwięk słowa „krzyż". Apostoł Paweł zdawał sobie sprawę z dylematu, kiedy mówił: „Albowiem mowa o krzyżu tym, którzy giną, jest głupstwem, ale nam, którzy bywamy zbawieni, jest mocą Bożą".

Krzyż jest głupstwem dla świata. Wszak w czasach Chrystusa był szubienicą. Dzięki ingerencji Boga w nasze ludzkie sprawy stał się symbolem życia i zbawienia. Symbolem odrodzenia. Wyraźnie odczuł to Szymon, któremu pod krzyżem zajaśniało słońce nowego dnia, odczuły to niezliczone zastępy wyznawców Mistrza z Nazaretu, które w jego mocy podniosły do nowej godności splugawione na drodze Golgoty wartości prawdy, miłości i pokoju.

Droga Szymona z Cyreny jest typowym przykładem działania łaski Bożej. Uczestnikiem jej stać się może każdy z nas, jeśli w tym pasyjnym czasie, spoglądając na cierpiącego Jezusa, zechce zastanowić się i poddać działaniu Jego mocy, przejawiającej się w każdym czasie: nawet pod brzemieniem krzyża i w chwilach, gdy modli się za swych oprawców: „Boże odpuść im, albowiem nie wiedzą co czynią". Chrześcijaństwo to nie tylko oglądanie i stałe czerpanie z owoców zwycięstwa Chrystusowego. To również uczenie się od Pana: „Weźmijcie jarzmo moje na się i uczcie się ode mnie, żem ja cichy i pokornego serca, a znajdziecie odpocznienie duszom waszym". Zdajecie sobie sprawę z tego, co dzięki niesieniu jarzma Chrystusowego zyskał Szymon? Czy zdolni jesteśmy pojąć, jaką otrzymał nagrodę w zamian za ulżenie cierpieniom Chrystusa, w zamian za chwilowe drwiny pospólstwa? Krzyż Golgoty nakazuje i nam wejrzeć w głąb własnej duszy. Każe zrozumieć prawdę, iż żadne zwycięstwo nie może być osiągnięte bez walki, żaden owoc nie rodzi się bez pielęgnowania krzewu. Wolność duszy, pełnia człowieczego życia, czystość i siła przezwyciężająca ciemności serca, to rezultat walki z samym sobą, przezwyciężenia egoizmu, strachu i zwątpienia, walki, w której wodzem i nauczycielem jest sam Jezus. W dokładnym obrazie swej drogi wskazał i nam ścieżkę do osiągnięcia jedności z samym sobą, do celu naszej wiary. Nie bójmy się jej. Albowiem kto chce Jezusa oglądać, musi się doń przybliżyć. „Jeśli kto chce iść za mną, niechajże samego siebie zaprze, a weźnie krzyż swój i naśladuje mię!" „A kto nie bierze krzyża swego i nie idzie za mną, nie jest mię godzien!"

Zastanówmy się nad tymi słowami. Pozwolą nam one głębiej zrozumieć istotę naszego chrześcijaństwa, konieczność wejrzenia w głąb samych siebie, oczyścić serce nasze od płytkiego odczuwania Bożego miłosierdzia i wejść w ścisłą więź z prawdziwymi naśladowcami Ukrzyżowanego, jacy byli i są na obliczu ziemi. Szymon z Cyreny był pierwszym z nas, który na ramionach swoich niósł krzyż Chrystusowy. Niechaj nas nie przeraża jego ciężar. Po chwilowym bowiem buncie przeżywać możemy cud odrodzenia, kiedy przekonamy się, iż prawdą były słowa: „Albowiem jarzmo moje wdzięczne jest, a brzemię moje lekkie jest"

„Patrz, duszo miła, oto twój Jezus z miłości ku tobie na krzyż okrutnie przybity. Patrz, oto sztandar zbawienia naszego. Podnieś wzrok swój i pomyśl, czy kiedyś w świecie objawiła się tak wielka miłość".

(J. Savonorola)

„Gdy chrześcijanin przybliżył się aż do krzyża i nań spojrzał, brzemię odwiązało się z jego ramion i spadło... Przez chwilę stał cicho spoglądając i dziwiąc się, że patrząc na krzyż, w tak przedziwny sposób uwolniony został od swego brzemienia. Na nowo więc spoglądał na drzewo krzyża, aż oczy jego stały się strumieniem łez płynących po twarzy".

(J. Bunyan)

„Czemuż, o Panie, nogi i ręce twoje do krzyża przybite zostały? Poto, by ręce i nogi twoje uwolnione były od więzów wiecznych i oddawały się w posłuszeństwo krzyża mego.

Ojcze... wejrzyj na mękę ukrzyżowanego, spójrz na rany przybitego, popatrz na krew cierpiącego, oglądaj blizny katowanego, przyjmij doskonałość wolę twą pełniącego i usłysz głos za grzesznych proszącego: „Dla Niego, dla Niego, dla Niego, zmiłuj się nad nami".

(J. A. Komeński)

„Podziwiaj chwałę krzyża Jego! Uczynek potwierdził Jego moc: zwyciężył świat nie siłą żelaza, lecz drzewem krzyża".

(Augustyn)

Krzyż Chrystusa Pana był i pozostanie na zawsze najprawdziwszą chrześcijańską rzeczywistością i doświadczeniem. Wnikmijmy więc do głębi tych kilku myśli o Nim, zwłaszcza w czasie pasyjnym.

JAN KONAR

JERZY TRZANOWSKI

Jerzy Trzanowski, wybitny pieśniarz ewangelicki, był Ślązakiem. Urodził się w Wielki Piątek, 27 marca 1592 r. w Cieszynie, dokąd przeprowadziła się jego rodzina z pobliskich Trzanowic.

Pradziad Jerzego Trzanowskiego, Adam ,był w Trzanowicach sołtysem. Był to weilki miłośnik pieśni religijnej: lubił śpiewać pieśni husyckie, oczywiście po czesku, albowiem czeszczyzna i niemczyzna na Śląsku, będącym wówczas częścią korony czeskiej, była w powszechnym użyciu jako język literacki. Wiadomo, że Piastowie śląscy bardziej ciążyli ku cesarstwu niemieckiemu i koronie św. Wacława, niż do Wielkopolski i Krakowa. W szkołach śląskich również uczono przeważnie po niemiecku i po czesku.

Ojciec Jerzego, Walenty, z zawodu kowal czy kotlarz, przeniósł się do Cieszyna. Z licznej rodziny pozostały przy życiu tylko trzy córki i syn Jerzy. Dzieci były wychowywane w atmosferze głęboko wierzącej i religijnej rodziny ewangelickiej.

Nauka Lutra rozkrzewiła się na Śląsku szeroko już w roku 1528, a w 1594 książę Adam Wacław, z rodu Piastów, nadał Cieszynowi i całemu Księstwu Cieszyńskiemu osobną Instrukcję kościelną, nakazującą ścisłe trzymanie się Pisma św. i nieodmiennej Konfesji Augsburskiej. Nie ulega więc wątpliwości, że i rodzina Walentego Trzanowskiego była wyznania luterskiego i że syn Jerzy pierwsze nauki pobierał w miejskiej szkole ewangelickiej. Jako trzynasto lub czternasto-letni młodzieniec chodził do szkoły w Gubinie w Dolnych Łużycach, później do liceum w Kołobrzegu (Kolberg) na Pomorzu. Nie wiemy, co spowodowało taką wędrówkę młodzieńca po szkołach.

Po ukończeniu nauk szkolnych młody student udaje się do Wittenbergi, gdzie młoda wszechnica była wówczas w pełnym rozkwicie. Zbiegali się tu ludzie ze wszystkich krajów Europy, żądni nauki i nowych zasad religijnych głoszonych przez Lutra. Młody Trzanowski spędził w Wittenberdze cztery lata (1607—1611). W środowisku wybitnie luterskim zasilone i wzmocnione zostały jego przekonania ewangelickie, w duchu wyznania augsburskiego. Nie dziw więc, że w kilka lat później (1620) wyda w Ołomuńcu Konfesję Augsburską w języku czeskim.

Z Wittenbergi młody Jerzy Trzanowski udaje się do Czech. Przewędrował je całe. W zimie 1611/12 był nauczycielem gimnazjum przy kościele św. Mikołaja na Małej Stronie w Pradze. Czas jakiś był domowym nauczycielem w Trzeboni, w rodzinie pana Szwamberka, ale powrócił stąd ponownie na Małą Stronę i uczył aż do jesieni 1613 r. Prawdopodobnie z tego okresu pochodzi pieśń:

Jezu, co nas ułaskawiasz,
Od żałości wielkich zbawiasz,
Proszę, twarz Swą racz odsłonić,
I do błagań mych się skłonić,
Bo ucieczki swej nie widzę
Oprócz Ciebie, nigdzie indziej.

Śpiewnik Kość. Ew.-Augsb., 288)

Z Pragi odchodzi Trzanowski do Holeszowa na Morawach, gdzie w latach 1614 — 1615 zajmuje stanowisko rektora szkoły, aby w latach 1615 — 1625 zająć podobne stanowisko w Wałaskim Międzyrzeczu.

Nauczycielstwo w owych czasach łączyło się najściślej z teologią. Duchowni Kościoła reformacyjnego przed wstąpieniem na ambonę uczyli w szkołach. W Międzyrzeczu istniał związek literatów (właściwie śpiewaków), co zapewne w niemałej mierze pobudziło Trzanowskiego do twórczości literackiej.

W Międzyrzeczu też ożenił się z Anną Polani z Polansdorfu, której ojciec był dyrygentem chóru w Opawie, ale z powodu przekonań religijnych musiał miasto opuścić. Brat jego, Amandus Polanus z Polansdorfu, był znanym w owym czasie profesorem reformowanej dydaktyki na uniwersytecie w Bazylei.

Okres międzyrzecki był w życiu Trzanowskiego najdłuższym i najspokojniejszym. Tu urodziła mu się córka Maria, która była wielką pociechą rodziców pokładających w niej wielkie nadzieje. „Nie miała jeszcze siedmiu lat — wspominał później w ciężkich czasach nieszczęśliwy ojciec — a już potrafiła czytać, a przemiłym głosikiem śpiewała Bogu modlitwy."

Od roku 1612 na Morawach rozpętuje się burza wojny trzydziestoletniej. W roku tym wstępuje na tron cesarski Ferdynand II, wychowanek Jezuitów. Przyrzeka on umierającej matce, że wytępi w swym państwie wszelką herezję, a przed obrazem Marii Panny w Loretto ślubuje, że przywróci papiestwu dawną jego potęgę.

Klęska obozu protestanckiego, w krótkiej, ale jakże tragicznej i długotrwałej w następstwach bitwie na Białej Górze koło Pragi (8.XI.1620), stała się początkiem okrutnego prześladowania ewangelików. Z Czech i Moraw wypędzono ze zborów duchownych ewangelickich, a kościoły ich i budynki szkolne gwałtem pozabierano i oddano katolikom. Trzanow-

skiego także czekał los wygnańca: musiał opuścić Międzyrzecze i szukać schronienia w rodzinnym Cieszynie. Wkrótce jednak powrócił do opuszczonego zboru, aby doświadczyć na sobie udręk wojennych, więzienia i zarazy, która podobno w roku 1624, w samym tylko mieście, zabrała około 2000 ludzi. Ofiarą jej padły również dzieci Trzanowskiego.

Edykt cesarski już od dawna nakazywał opuszczenie kraju duchownym ewangelickim, Trzanowski pozostawał jednak w dalszym ciągu. Wreszcie i on, w roku 1625, odszedł na wygnanie.

Z tych właśnie ciężkich czasów pochodzi pieśń:

Rozgniewał się mój miły Pan,
Rozgniewał na me złości,
Dlatego jest w nieszczęście dan
W Jego popędliwości.
Krzyż mnie przygniata wciąż,
Co pragnę, nie wiem już.
Opuszczon od przyjaciół swych,
Oddany jestem w ręce złych.
(Śpiewnik Kościoła Ew.-Augsb., 298)

Trzanowski, z małżonką i jednorocznym synkiem Samuelem, szuka ponownie schronienia w rodzinnym Cieszynie, aby wreszcie znaleźć trwalszy azyl w Bielsku, jako nadworny kaznodzieja Jana Szuyoghá. Przez trzy lata spełniał tam obowiązki duszpasterskie, co upamiętnia wybudowany na placu przed kościołem wodotrysk. Na jednym z jego boków widnieje łaciński napis: „Georgius Transcius Teschinensis 1591—1637, claruit Bilicio 1926".

Burza jezuicka i stąd wygnała Trzanowskiego i Jana Szuyoghá. Zrządzeniem Bożym znalazł jednak nowego gorliwego opiekuna w osobie hrabiego Kacpra Ileshazy, który powołał go na dworskiego kapelana w zamku Orawskim, w Słowacji. Ale i tu pobyt Trzanowskiego nie był dłuższy od poprzedniego.

Wspaniała wymowa, pieśni, które wyszły w druku w języku łacińskim, oraz zasługa wobec Słowian, którą pozyskał przez przełożenie na język czeski Konfesji Augsburskiej, sprawiły taki rozgłos, że w 1632 roku Trzanowski zostaje powołany na pasterza zboru w Liptowskim św. Mikołaju. Niestety, Trzanowski wyczerpany i zniszczony cierpieniami i przejściami poprzednich lat, sam o sobie — on, wówczas czterdziestoletni mężczyzna — mówi jak o starcu. Cierpienie stało się nieodłącznym udziałem jego życia. Jak je w swej głębokiej wierze pojmował, najlepiej świadczy, obok jego pieśni, również ex libris, którym oznaczał książki swojej biblioteki: z kielicha wyrasta kwiat, a nad nim czytamy napis: Calix Domini Salutaris (zbawczy kielich pański). Pod kielichem krzyż, a po jego stronach obrazek Łazarza i Hioba, pod nim słowa Psalmu 116: „Kielich zbawienia wezmę i imię Pańskie wzywać będę".

Psalmista Pański, Dawid, smętną swą duszę pocieszał psalmami, które i dla tysięcy tysiąców stały się źródłem pokrzepienia. Trzanowski, gorliwy mąż Boży, z natury poeta, zabrał się do błogosławionej pracy, która wśród Słowian miała przynieść bogaty plon, do pracy niewątpliwie wielkiej i ciężkiej, do ułożenia kancjonału, którego brak dawał się silnie odczuwać.

Najprzód więc wydał w Levoci, w r. 1633, zbiór moditw, p.t. „Phiola odoramentorum" podług łacińskiego brzmienia wersetu z księgi Objawienia (5,8): „Czasze pełne wonnych rzeczy, które są modlitwy świętych". W roku następnym, który miał być przedostatnim rokiem życia wielkiego piewcy, wydał kancjonał zatytułowany również według tego samego wersetu z Apokalipsy „Cithara sanctorium", a w którym zamieścił 71 pieśni własnych i 79 przekładów z języka niemieckiego.

Po dokonaniu tego dzieła Trzanowski wkrótce zachorował. Pan nie oszczędził mu krzyża, ale Trzanowski wiedział, gdzie szukać pokrzepienia. W ciągu 9 miesięcy choroby czterokrotnie przyjmował Komunię św. Dnia 29 maja 1637 r. w sile wieku, mając zaledwie 46 lat, dokonał bogobojnego życia w Liptowskim św. Mikołaju, gdzie go też pochowano w tym samym kościele, w którym głosił Słowo Boże. Kościół ten na podstawie edyktu restytucyjnego z r. 1629 zabrali katolicy i nie wiadomo, czy nie postąpili ze zwłokami Trzanowskiego podobnie, jak to robili gdzieindziej. Lecz Trzanowski wystawił sobie sam najtrwalszy pomnik swym Kancjonałem.

Kancjonał Trzanowskiego jest czymś więcej niż tylko zbiorem pieśni. Autorowi w pierwszym rzędzie chodziło o to, aby dać Kościołowi księgę chwał Pańskich. Ewangelik miał pieśnią Boga chwalić, wyznawać Go, modlić się do Niego i dziękować Mu, a przy tym samemu budować się i umacniać w czystej wierze, ugruntowanej na Piśmie św. i na nieodmiennej Konfesji Augsburskiej. Trzanowski był nie tylko teologiem wiernie trzymającym się Pisma św. i symbolów Kościoła, lecz i człowiekiem głębokiej wiary. Nawet w drobnych rzeczach trzymał się wiernie tekstu Pisma św. i wszczepiał śpiewakowi w pamięć przykłady biblijne, iż często nie wiesz, czy ci, którzy używali jego kancjonał, znali Pismo św. bezpośrednio z Biblii, czy też z kancjonału. Trzanowski często czerpał materiał ze Starego Testamentu: śpiewał o Absolonowi, o Elizeuszu, o wdowie z Sarepty i o tylu innych postaciach, z którymi jak gdyby bezpośrednio obcował. Kiedy indziej ubierał w szatę poetycką przypowieści nowotestamentowe, innym znowu razem parafrazował całe ustępy historyczne, albo wdawał się z Żydami w dysputę, dowodząc im, że Jezus jest przepowiedzianym przez proroków Mesjaszem.

Trzanowskiemu nie chodziło jednakże tylko o powtarzanie biblijnej treści. Chodziło mu o coś więcej: o jasne wyznanie wiary. Podobnie jak Luter, Trzanowski gruntuje zbawienie człowieka na samym Bogu, a usprawiedliwienie

z wiary jest centralną prawdą, którą kancjonał zwiastuje i wychwala. Trzanowski wyznaje wiarę ojców. Przekłada pieśni Lutra, czerpie z pieśni husyckich i czeskobraterskich, z rodzimych pieśni słowackich, ba nawet i ze średniowiecznych pieśni i hymnów łacińskich. Prawdziwe to „obcowanie świętych" w pieśni wszystkich wieków. Zaiste, prawdziwa to cithara sanctorum, cytra, czy harfa świętych.

Cithara śledzi tok roku kościelnego. Kancjonał dzieli się na cztery części.

W pierwszym dziale mieszczą się antyfony niedzielne i świąteczne, pieśni adwentowe i na Boże Narodzenie, noworoczne i na święto Epifanii, pieśni o życiu i męce Jezusa, pieśni wielkanocne, o wniebowstąpieniu, o Duchu św. i o Trójcy św.

Dział drugi obejmuje Kyrie, Wierzę w Boga, pieśni o aniołach, o błogosławionej Marii, o apostołach i męczennikach, pieśni przed kazaniem i po kazaniu, pieśni o sakramencie chrztu i wieczerzy Pańskiej, na zakończenie nabożeństwa i o stanie małżeńskim.

Do działu trzeciego weszły pieśni o Słowie Bożym i katechizmowe, o Kościele, o Osobie Chrystusa Pana i Jego urzędach, o usprawiedliwieniu, o przejściu do żywota wiecznego, o modlitwie, pokucie, krzyżu i smutku, o życiu świątobliwym.

Wreszcie w dziale czwartym zawarte są antyfony codzienne, pieśni poranne, południowe i wieczorne, pieśni przygodne, podczas wojny i pieśni o pokój, pochwalne, dziękczynne, pieśni na każdy czas, pieśni pogrzebowe i o sądzie ostatecznym.

Ile czasu potrzebował Trzanowski na zebranie i opracowanie swojego kancjonału, nie wiemy; w każdym razie niezawodnie kilka lat. Podjął się pracy naprawdę ogromnej, ale też chwalebnie ją wykonał. Kancjonał jego był stale na nowo wydawany (dotąd chyba ze 130 razy!) oczywiście nie w pierwotnym zarysie. Późniejsze wydania, szczególnie wydanie Daniela Horčički-Sinapiusa z r. 1684 i Samuela Hruškovica z r. 1741, znacznie zwiększyły jego objętość, a bratysławskie wydanie z r. 1812 obejmuje już 998 pieśni. Nazwa kancjonału zawsze jednak brzmiała jednakowo: Cithara sanctorum albo wprost (od łacińskiej formy nazwiska autora) „Tranoscius".

Obok Biblii kralickiej, „Tranoscius" był aż do dni naszych, najukochańszą księgą ludu słowackiego. Obie te księgi nie tylko swoją treścią, ale i językiem pomagały braciom Słowakom w ciężkich ich zmaganiach, zrazu z niebezpieczeństwem tureckim, a potem w walce z wynarodawiającą polityką grafów węgierskich. Ślązacy zaś, lubo w polskiej mowie słuchali kazania i budowali się z Postylli Dambrowskiego, długo nie mogli rozstać się z Trzanowskim. Dziwnym było, wśród ludu polskiej mowy, słyszeć czeskie pieśni „Tranoscia", który w całości nigdy nie został przetłumaczony na język polski.

Ks. Jerzy Heczko, pragnąc dać ludowi polskiemu na Śląsku polski śpiewnik, opracował i wydał w Cieszynie w r. 1865 polski kancjonał ewangelicki, w którym zamieścił wiele pieśni Trzanowskiego. Kancjonał Ks. Heczki jest używany w Śląskim Kościele ewangelickim, a w Czechosłowacji (przy polskich nabożeństwach) po dzień dzisiejszy. Obecnie jest już 21 wydań tego kancjonału.

Ks. Dr Leopolda Otto nie podobna przy tych sprawach posądzać o jednostronność, nie mniej jednak, w swoim „Zwiastunie Ewangelicznym" (Warszawa, 1877, str. 200) wyraził się ten mąż otwarcie: „Jakkolwiek uznajemy i szanujemy pracę podjętą przez Ks. Heczkę, trudno w sercu stłumić żal po kancjonale Trzanowskiego. Acz kosztowałoby to wiele trudu i znacznie opóźniło wprowadzenie śpiewu w polskiej mowie na Śląsku, lecz należało raczej uskutecznić przekład kancjonału Trzanowskiego na język polski i snuć dalej nić wspólnej wiary, która przez 230 lat łączyła ewangelików słowackich ze Ślązakami".

Trzanowski swoją osobą i dziełem łączy i zespala w gruncie rzeczy ewangelików narodowości: czeskiej, słowackiej i polskiej. Zarówno Czesi, Słowacy jak i Polacy uważają Trzanowskiego za swojego rodaka. I słusznie; ten Ślązak był jednocześnie Polakiem, Słowakiem i Czechem. W trzechsetną rocznicę wydania Cithary, w r. 1936, pamięć wielkiego słowiańskiego pieśniarza uczcili Polacy, Słowacy i Czesi przez wmurowanie pamiątkowych tablic w Pradze, w Wałaskim Międzyrzeczu i w Liptowskim św. Mikołaju, a w roku 1937 także w czeskim Cieszynie. Pamięć jego przetrwa jeszcze długie lata.

Czytelnicy „JEDNOTY" popierają i propagują swoje pismo!

W. A. VISSER'T HOFFT
PIONIER CHRZEŚCIJAŃSKIEJ JEDNOŚCI

Chcąc bliżej zapoznać Czytelników Jednoty z sylwetką Generalnego Sekretarza Światowej Rady Kościołów, będącego czołową postacią światowego ekumenizmu nie tylko ze względu na piastowane wysokie stanowisko, drukujemy poniżej w wersji polskiej niezwykle ciekawy artykuł Hansa Walza, jaki ukazał się w ubiegłym roku na łamach zachodnioniemieckiego miesięcznika „Digest" Nr 7. Na tle przeszłości i teraźniejszości międzynarodowej stolicy świata, jaką jest Genewa, autor ukazuje nam człowieka, żyjącego od młodości ideą jedności całego chrześcijaństwa.

Redakcja „Jednoty"

Przed czterystu laty działał w Genewie wielki Reformator Jan Kalwin. Był obcokrajowcem, pochodzącym z Pikardii, a więc z Francji. Niektórzy mówią, że rządził Genewą i że te jego rządy miały być nieznośne. W rzeczywistości traktował niezwykle poważnie stosowanie woli Bożej w Kościele i społeczeństwie. To jest prawdą. Nie można też zaprzeczyć, że wolę Bożą pojmował Reformator Genewski często raczej jako surowe prawo aniżeli radosną nowinę. Lecz chciwym władzy Kalwin nie był. Co się tyczy jego osoby, był nieśmiały i skromny. Do Genewy wcale pójść nie chciał. Gdy go tam po raz drugi sprowadzono, zdawało mu się, „że z powodzeniem mógłby się natychmiast dać ukrzyżować". A jednak z Genewy, dotąd względnie mało znaczącego miasta, uczynił to, o czym się myślało, gdy mowa była o Wittenberdze i Genewie: punkt wyjściowy dla reformowanego chrześcijaństwa i — więcej niż jakiekolwiek inne miasto kiedykolwiek było — ośrodek protestanckiego świata.

Nici, wychodzące z Genewy lub tam się skupiające, prowadziły za życia Kalwina i jego następcy do wielu krajów, do przywódców kościelnych, ale też do magistratów i książąt. Później, gdy bezpośrednie kierownictwo Genewy wygasło, kalwinizm poprzez purytanizm, szczególnie w Północnej Ameryce, odegrał swoją wybitną rolę, kształtując aż do czasów obecnych oblicze społeczne Stanów Zjednoczonych.

Oto jest tło, a zarazem kulisy sceny genewskiej. Ale to już dawno utraciło swoje pierwszoplanowe znaczenie. Sztuka, którą się wystawia, do tej scenerii chyba już nie pasuje. Oto mamy do czynienia z Genewą, miastem światowym, ze swą wspaniałą autostradą wzdłuż jeziora, a potem Pont du Mont Blanc. Tu panuje atmosfera zgasłej Ligi Narodów, międzypaństwowych organizacji i konferencji na szczycie. Tu znajduje się Międzynarodowy Czerwony Krzyż, założony przez genewczyka Henri Dunant. Tu jest siedziba światowych organizacji chrześcijańskiej młodzieży, Chrześcijańskiego Związku Studentów i wreszcie, po części na nich wyrosła, ale już po niewielu latach daleko poza nie wybiegająca, Ekumeniczna Rada Kościołów inaczej Światową Radą Kościołów zwana. Jeżeli ktoś dzisiaj mówi o Genewie w sensie Historii Kościoła, ten nie przeciwstawia już Genewy Wittenberdze, lecz Rzymowi. Gdy dzisiaj wymienia się Genewę, to nie chodzi już o odróżnienie dwóch specyficznych wyrazów ewangelickiego chrześcijaństwa — luteranizmu, który wziął swój początek w Wittenberdze i kalwinizmu, którego najbardziej wpływowym eksponentem był Kalwin.

Chodzi o zagadnienie chrześcijańskiej jedności. W gorącym pragnieniu jedności Rzym i Genewa są zgodne. Jeśli zaś chodzi o kwestię, w jaki sposób osiągnąć tę jedność, oba ośrodki fundamentalnie się różnią: Rzym reprezentuje zasadę jednego Kościoła, jedynie prawdziwego, który właśnie dlatego gotowy jest w chrześcijańskiej miłości przyjąć z powrotem odłączonych. Genewie nie tyle chodzi o jeden Kościół, ile o jedność Kościołów. Nie powrót do czegoś, co w tej formie właściwie nigdy nie istniało, ma być celem, lecz dążenie do przyszłej jedności wytycza drogę Kościołów. W tym wypadku mogą nawet pozostać różnice, ale one nie śmią więcej dzielić. Ta droga prowadzi poprzez praktyczną współpracę istniejących Kościołów we wszystkich tych dziedzinach, w których współpraca nie narusza zasad nauki i ustroju poszczególnych Kościołów. Ona prowadzi poprzez czuwanie nad zadaniem charakteru misyjnego, ewange-

Genewa

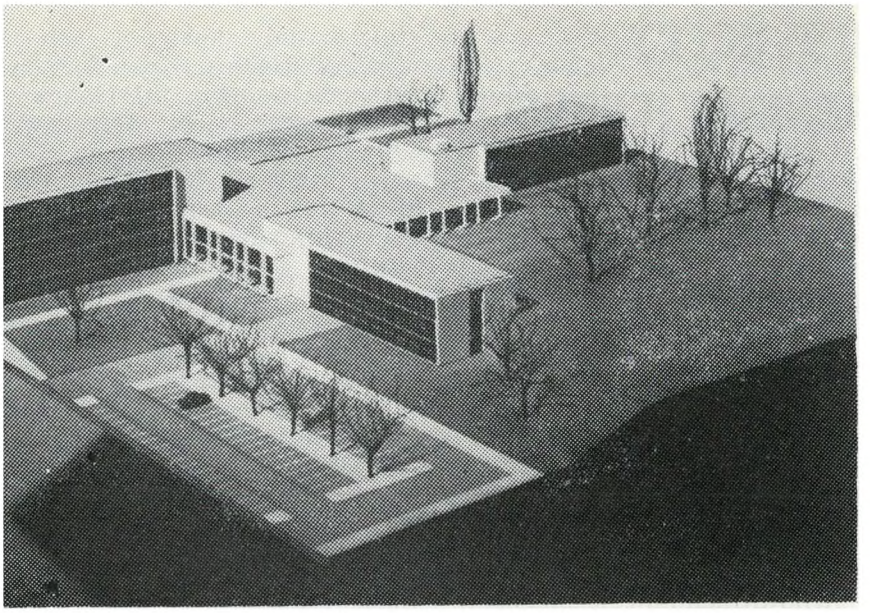

Tak będzie wyglądał nowy gmach Światowej Rady Kościołów w Genewie

lizacyjnego i społecznego, które w dzisiejszej sytuacji światowej są zadaniami całego chrześcijaństwa, a nie tylko poszczególnych Kościołów. Droga prowadzi wreszcie poprzez teologiczną współpracę dla zgłębienia zgodności i różnicy w sprawach wiary i ustroju różnych Kościołów, z celem wzajemnego uznawania urzędu kościelnego, sakramentów i zasadniczych nauk, dotyczących prawdy. Tęsknota za jednością istnieje tak długo, jak długo chrześcijańskie społeczności są rozdzielone. A to miało miejsce w ciągu niespełna 2000 lat historii chrześcijaństwa, choć w bardzo różnym natężeniu. Jedyną odpowiedzią, jaką dysponowała dotychczasowa historia Kościoła, był to: zjednoczenie w sensie powrotu wszystkich do starego Kościoła, albo w sensie nawrócenia wszystkich do nowego. Współczesny ruch ekumeniczny stawia pod znakiem zapytania ten zbyt prosty schemat. Przedkłada natomiast nieznany dotąd wymiar jedności w różności. To ma nieobliczalne znaczenie w sprawach, wybiegających daleko poza sprawy Kościoła. Jedność w różności jest tą jedyną formułą pozwalającą wyobrazić sobie obejmujące cały świat współżycie państw i narodów, bez rządów ucisku z jednej i bez chaosu z drugiej strony.

Znowu, jak przed czterystu laty, siedzi w Genewie człowiek, który nie jest Szwajcarem. Nazywa się Willem Adolf Visser't Hooft. Jest Holendrem i kalwinistą, co można już z tego odgadnąć, że nosi on imiona tych, którzy w czasach Reformacji wywalczyli niepodległość Niderlandów i później dali początek domowi panującemu. Niedawno Visser't ukończył 60 lat.

Kiedy przybył do Genewy, miał 24 lata. Tam miała swą siedzibę dopiero co utworzona Liga Narodów. Nici, które się tu spotkały, nie zostały zerwane nawet podczas drugiej wojny światowej. Visser't Hoort wykorzystał to później dla sprawy, której służył. Ale on nie przyjechał do Ligi Narodów. Został wtedy sekretarzem Światowego Związku Chrześcijańskich Stowarzyszeń Młodych Mężczyzn. Przedtem studiował w Anglii. Później odwiedził Amerykę i w swojej pierwszej pracy omówił social gospel — czyli dędący wówczas w rozkwicie — religijny socjalizm Ameryki. W 1925 r. wziął udział, jako najmłodszy uczestnik, zwołanej przez szwedzkiego arcybiskupa Natana Soederbloma konferencji Światowego Ruchu dla Praktycznego Chrześcijaństwa. W 1931 r. został generalnym sekretarzem Światowego Związku Chrześcijańskiego Ruchu Studentów. Mimo depresji gospodarczej w latach trzydziestych zorganizował po raz pierwszy południowo-azjatycką konferencję studentów na Jawie. Już wcześnie zdawał sobie sprawę, gdzie leżeć będą punkty ciężkości nowego świata. W decydującej mierze był też czynny przy przygotowaniu drugiej Światowej Konferencji dla Praktycznego Chrześcijaństwa w Oxfordzie 1937 r. W tym samym roku brał udział w Światowej Konferencji Ruchu dla Spraw Wiary i Ustroju w Edynburgu.

Dzieło życia jego rozpoczęło się, gdy, mając niespełna 38 lat, powołany został na urząd generalnego sekretarza mającej powstać Ekumenicznej Rady Kościołów. Rada miała oficjalnie być powołana do życia w 1941 r. Ale wtedy była wojna; mogła ona zniszczyć wszystkie projekty w zarodku. A że to się nie stało, że lata wojny, przeciwnie, doprowadziły do wzmocnienia więzów ekumenicznych między Kościołami, było — po ludzku mówiąc — zasługą kilku mężów, a pomiędzy nimi działającego w Genewie Holendra. W ten sposób trzy lata po zawieszeniu broni, po tej najbardziej morderczej wojnie w historii światowej, mogła oficjalnie być powołana do życia Światowa Rada Kościołów z wszystkich ważniejszych krajów. Obejmuje ona dziś 178 Kościołów członkowskich, a tym samym dwie trzecie nierzymskiego chrześcijaństwa *). Generalnym sekretarzem tej najszerzej pojętej Organizacji kościelnej współpracy, którą zna historia rozdzielonych Kościołów, został — a właściwie pozostał Dr Visser't Hooft. I jest nim do dnia dzisiejszego.

Od wielu lat nie ma na całym świecie kościelnego zagadnienia o większym znaczeniu, którym by się Visser't Hooft nie zajmował. Będzie to dopuszczenie kobiet do stanowisk kościelnych w Szwecji, czy ustosunkowanie się Kościołów do polityki „apartheidu" w Południowej Afryce, czy problemy Synodu Kościoła Ewangelickiego w Niemczech, czy sprawa Zjednoczenia Kościoła Południowo-Indyjskiego. Także polityczne wydarzenia:

*) Po przystąpieniu w ubiegłym roku wielkich Kościołów Prawosławnych, w Radzie Ekumenicznej skupione już jest niemal całe chrześcijaństwo nierzymskie.

Korea, Berlin, Kongo, rzucają swoje cienie na pracę Rady Ekumenicznej i jej generalnego sekretarza. Nadzieje, jakie wielu ludzi łączy z zapowiedzianym przez papieża soborem, uderzają niby fale o brzegi genewskiej centrali.

Lecz pomijając wielki zakres spraw, Visser't Hooft jest kimś więcej, niż naczelnym funkcjonariuszem organizacji o światowym zasięgu. On jest inspiratorem ruchu ekumenicznego, przekraczającego dotychczasowe formy Rady. „Światowa Rada Kościołów nie jest celem, lecz punktem wyjściowym" — powiedział zaraz po jej utworzeniu. Chodzi o wyższe posłuszeństwo w wyraźniejszym ukazywaniu danej nam jedności Kościoła. Niezbędne jest odnowienie Kościołów w kierunku obrony chrześcijańskiego posłannictwa w niesłychanie zmieniającym się świecie.

Misja ta wycisnęła swoje piętno na jego osobowości, a także określa jego sposób urzędowania. Visser't Hooft pozostał praktycznym teologiem i stał się strategiem. On zgłębia dalekie cele i wszystkie siły im poświęca. W nim łączy się rozmach wielkiej wiary z trzeźwością dokładnej obserwacji. Skrupulatny tam gdzie trzeba, jako dobry Holender niemal ponad miarę oszczędny, nigdy jednak nie grzęźnie w drobnostkach. Koncentruje się na tym, co najkonieczniejsze, nie gubiąc się przy tym w innych możliwościach. Srogi w stosunku do siebie samego i zapewne do innych, jest raczej znawcą wielu języków niż słuchającym, jest człowiekiem czynu. Myśl ma dla niego o tyle wartość, o ile wyrasta z niej czyn. A jednocześnie reaguje z iście sejmograficzną wrażliwością na wszelkie prądy, napięcia i potrzeby w rozległych terenach swojej działalności. Bez sentymentalności, aż do zdrady swego własnego delikatnego uczucia, służy sprawie, która stała się jego zadaniem życiowym. Ukazuje się nam, jako jeden z tych nie na darmo w tradycji Kalwina trwających żołnierzy Chrystusowych, którzy mają do spełnienia wielkie zadania dowódców. (Tłum. Ks. R. T.)

O ALBERCIE SCHWEITZERZE

„Życie Warszawy" zamieszcza interesującą wiadomość o drukowanej w radzieckim piśmie „Izwiestia" korespondencji N. Portugalowa, dotyczącej wizyty u Alberta Schweitzera.

Ze względu na jego bardzo ciekawe wypowiedzi warto zapoznać Czytelników Jednoty z tekstem, przedrukowanym przez „Życie Warszawy".

„Stolicę Gabonu Liberville dzieli od Lambarene 250 km bardzo złej drogi. Samochodem terenowym można ją przebyć w ciągu 12 godzin. Pozostał nam lot wynajętym samolotem towarzystwa „Trans-Gabon". Na Willysach nasza grupa dojechała z lotniska od przeprawy przez rzekę Obowę (chyba powinno być Ogowe, przyp. mój S.B.). Na drugim brzegu rozciąga się szpitalne miasteczko Schweitzera. Oto i przystań. Zobaczyliśmy tu wysoką, nieco przygarbioną postać, znaną nam z setek fotografii. Biały surdut, niebieska muszka, hełm korkowy, surowe, ascetyczne wargi pod gęstymi, zwisającymi wąsami, dobre spojrzenie jasno niebieskich oczu.

„Serdecznie witamy — mówi do nas szeroko uśmiechnięty dr Schweitzer. — Miło mi przywitać w Lambarene pierwszych ludzi radzieckich!".

Zwróciłem się do uczonego z pozdrowieniem. Nie zdążyłem jednak wypowiedzieć kilku słów, kiedy Schweitzer z dobrodusznym uśmiechem klepnął mnie po ramieniu.

— Zostawmy to młody człowieku, nie znoszę przymiotników w stopniu najwyższym.

Po zwiedzeniu szpitala podchodzimy do domku, w którym w skromnym pokoiku, przypominającym raczej celę, mieszka sam doktór. Stół roboczy z lampą naftową (niewielka elektrownia szpitala wytwarza energię jedynie dla celów leczenia), dziesiątki książek, dokładnie zaścielone łóżko.

— Kładźcie rzeczy wprost na łóżku — rozkazuje doktor. — Przechodzimy do jadalni, gdzie na Schweitzera czekają już jego współpracownicy.

— Tylko bez przemówień powitalnych — mówi śmiejąc się Schweitzer. Po krótkiej modlitwie zaczął się obiad.

— Rosjanie przyjechali do mnie do Lambarene po raz pierwszy — powiedział z zamyślonym uśmiechem. — A przecież wy, młodzi, z pewnością nie wyobrażacie sobie, co znaczyły dla nas w ubiegłym stuleciu książki Lwa Tołstoja. Wtedy nagle zobaczyliśmy i pojęliśmy, że człowiek może i powinien być Człowiekiem.

Proszę dr Schweitzera, aby odpowiedział na kilka pytań interesujących radzieckich czytelników.

— Jak wiadomo, rząd radziecki domaga się powszechnego i całkowitego rozbrojenia i likwidacji broni atomowej. Czy uważa pan, że jest to droga, która prowadzi do osiągnięcia trwałego pokoju na świecie?

— Wraz z bronią atomową, która potrafiłaby w ciągu mgnienia oka zniszczyć ogromne miasta, pojawiło się na świecie nowe, nieznane dotąd zło — powiedział uczony. — Broń atomowa jest najstraszniejszym współczesnym wyrazem antyhumanizmu. Broń ta powinna zostać zniszczona. Jakimi środkami trzeba to osiągnąć? Trzeba o tym wszędzie mówić. Nie wydaje mi się, by możliwe było osiągnięcie tego celu jedynie drogą polityczną, czy dyplomatyczną. Sama polityka stała się w obecnej dobie obyczajową, etyczną kategorią. Jestem przekonany, że można przekonać ludzi, skłonić ich do wysłuchania głosu rozumu i sumienia. Innego wyjścia nie ma. Samym dyplomatom trudno będzie porozumieć się co do gwarancji pokoju i zlikwidować wzajemny brak zaufania. Ale wszyscy ludzie na ziemi powinni szanować wszystko, co żyje na ziemi; uważam, że zlikwidowanie broni atomowej, jako zła, którego nie można pogodzić z ludzką etyką, pozostaje w mocy człowieka.

— A czy nie mógłby pan powiedzieć, jakie problemy uważa pan za decydujące dla rozwoju młodych państw afrykańskich?

— W rzeczy samej nie znam innych krajów afrykańskich, prócz Gabonu i dlatego nie zabieram się do oceny tych problemów. Siedzę tutaj, jak „mysz w dziurze".

— Ale przecież pański głos cenią na całym świecie?

— Właśnie dlatego nie chciałbym mówić zbędnych rzeczy — odpowiada z uśmiechem Schweitzer.

Na zakończenie pytam gościnnego gospodarza, czy nie chciałby przekazać czegoś ludziom radzieckim, którzy ze swej strony z całego serca życzą mu dobrego zdrowia i nowych osiągnięć w jego dobroczynnej działalności.

— Przekażcie im moje pozdrowienia i to, co powiedziałem o likwidacji broni atomowej. Humanizm i etyka powinny zatriumfować na świecie."

Podał B. T.

CHRZEŚCIJAŃSTWO WSCHODU I ZACHODU

Chrześcijaństwo Wschodu w oczach chrześcijaństwa Zachodu uważane jest za chrześcijaństwo cierpiące. Czy może Pan powiedzieć nam, co wy, chrześcijanie Wschodu, myślicie o Kościołach Zachodu?

Pozwoli Pan, że przed udzieleniem odpowiedzi powiem, że my nie lubimy tego określenia — „chrześcijaństwo cierpiące". Niewątpliwie sytuacja nasza jest trudna, ponieważ żyjemy w warunkach różniących się od poprzednich, nie jesteśmy jednak Kościołem cierpiącym. Trudności nasze nie są zresztą spowodowane tym, o czym się powszechnie myśli. Istotną ich przyczyną jest fakt, że absolutnie nie byliśmy przygotowani do nowej sytuacji i że zmuszeni jesteśmy do szukania nowych dróg. Jeśli występuje problem cierpienia, ma on zupełnie inny charakter niż to sobie nasi bracia z Zachodu często wyobrażają.

Odpowieź moja na postawione pytanie wiązać się będzie z poprzednią uwagą. Ogólnie biorąc, stosunek Wschodu do chrześcijaństwa zachodniego jest bardzo wyraźny. Niewątpliwie u niektórych spośród naszych wyznawców istnieją tendencje podporządkowania się stylowi życia ludzi Zachodu, ale poznając je bliżej, orientują się szybko, że chrześcijaństwo Zachodu jest poważnie zagrożone przez napór kierunków przeciwnych, które, aczkolwiek pozornie nie dostrzegalne, kryją w sobie niebezpieczeństwa. Jednym słowem, chcę powiedzieć, że Zachód żyje nadal w fałszywym ustroju cywilizacji chrześcijańskiej z epoki Konstantyna, podczas gdy my, na Wschodzie, już w tym ustroju nie żyjemy. Zmusza nas to do odnalezienia ponownego wspólnego Kościoła we współczesnym świecie.

Kościół Zachodu oskarża się o kompromis z imperializmem i kapitalizmem, podczas gdy Kościół Wschodu podejrzany jest o współdziałanie z reżimem ateistycznym. Abstrahując od odcieni tych poglądów jak, zdaniem Pana, Kościół może uporać się z tak niebezpiecznym zjawiskiem, jakim jest jego rozłam?

Istotnie, często odnosimy wrażenie, że Kościół Zachodu podporządkowuje się otaczającemu go światu i służy mu... Niemniej jednak zawsze byliśmy pełni podziwu dla licznych grup chrześcijan z Zachodu, którzy potrafili wyzwolić się spod tego nacisku. Pozwolę sobie dodać, że w naszych praskich konferencjach bierze

UN CHRETI

répo
à no

LE professeur Hromadka, doyen de la Faculté de Théo Prague, vient de passer quelques jours à Paris. Nous contrer pour lui poser quelques-unes des questions qu cœur aux chrétiens d'Occident. Il nous a répondu avec la préc mais aussi avec une liberté, une simplicité et une joie que ce rendre. Pour ceux de nos lecteurs qui l'ignoreraient, nou professeur Hromadka est également membre du Comité ce exécutif du Conseil œcuménique des Eglises et qu'il assume des assemblées chrétiennes universelles pour la paix dont précisément tenues jusqu'à présent à Prague.

INTERVIEW DU PROFESSEUR HROMADKA DE PRAGUE

PAR PAUL CONORD ET S. RICHARD-MOLARD

Wywiad z profesorem H przez Paula Conorda i S. R francuskiego tygo

Profesor Hromadka, dziekan wydziału Teologii dni w Paryżu. Usiłowaliśmy spotkać się z nim, by na sercu chrześcijanom z Zachodu. Prof. Hromadka się przekonacie, jak również ze swobodą, prostota Tym naszym czytelnikom, którzy Go nie znali no członkiem Komitetu Centralnego i Komitetu i że wziął on także na siebie obowiązek przewod pokojowym, których posiedzenia odbywały się

ÉN DE L'EST
nd

s questions...

ogie protestante de
vons tenu à le ren-
tiennent le plus à
sion que l'on verra.
lignes ne sauraient
s rappelons que le
ntral et du Comité
aussi la présidence
les assises se sont

Le professeur Hromadka (à droite) en compagnie du pasteur Finet lors de la Conférence européenne de l'Alliance Réformée mondiale à Zurich en août 1961.

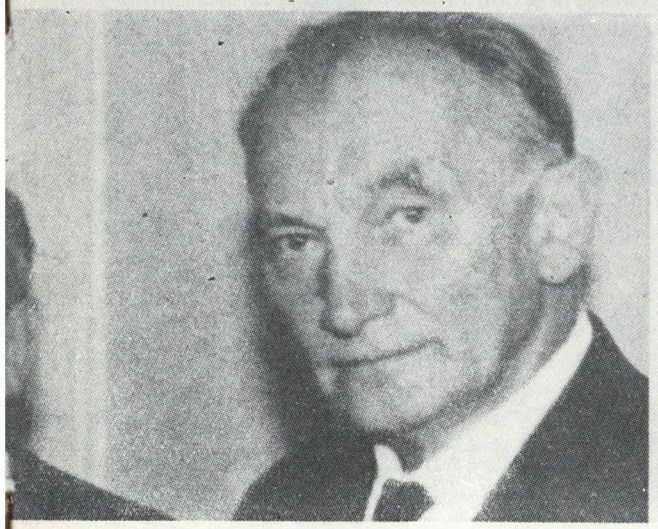

romadką, przeprowadzony
ichard Molarda na łamach
dnika „Reformé"

protestanckiej w Pradze, spędził ostatnio kilka
móc postawić kilka pytań, które najbardziej leżą
udzielił nam odpowiedzi z dokładnością, o której
i radością, której te słowa nie potrafią oddać.
przypominamy, że profesor Hromadka jest zarów-
Wykonawczego Rady Ekumenicznej Kościołów,
niczenia światowym chrześcijańskim konferencjom
dotychczas w Pradze.

Redakcja „Reforme"

udział coraz więcej przedstawicieli świata zachodniego. Wydaje mi się, że byłoby niebezpieczne zbyt wielkie upraszczanie pojęć o naszej sytuacji w świecie komunistycznym. Jedynym i podstawowym dla nas, łatwym do sformułowania, ale trudnym do realizacji zadaniem, jest dowieść, że można pozostać chrześcijaninem i człowiekiem wiary nie tylko w minionych warunkach, lecz również w ustroju socjalistycznym, czy komunistycznym. Wielkie to zamierzenie podejmujemy z wiarą i ufnością; należy jednak jeszcze raz podkreślić, że walki rozgrywającej się w łonie społeczeństwa komunistycznego nie należy rozumieć jako prześladowania.

Jeżeli chodzi o wyjaśnienie tego, co nas dzieli, sądzę, że wspólnym celem wszystkich chrześcijan jest dążenie do wzajemnego zrozumienia, mimo sprzeczności powstałych w wyniku nacisku zimnej wojny. Abyśmy jednak mogli wzajemnie się zrozumieć, musimy spotykać się.

Ważne jest przede wszystkim to, ażeby wymiana naszych myśli i poglądów nie dokonywała się na płaszczyźnie ekonomicznej, lub politycznej, lecz na Ewangelii. Jeżeli nie wyjdziemy od Ewangelii, osiągnięcie wzajemnego porozumienia nie będzie możliwe.

Od dawna pański Kościół jest członkiem Rady Ekumenicznej; czy sądzi Pan, że przystąpienie Kościoła ortodoksyjnego rosyjskiego stworzy dla Rady Ekumenicznej nowe możliwości w budowaniu tej jedności?

Niewątpliwie tak. Spontaniczne i jednogłośne przyjęcie, jakie towarzyszyło przystąpieniu Kościoła rosyjskiego (jak również rumuńskiego, bułgarskiego i innych) na łono ŚRK świadczy o możliwości owocnych spotkań i szczerej chęci otwarcia do nich drogi. Niejednokrotnie spotykałem się na Wschodzie z opinią, że przystąpienie Kościoła rosyjskiego jest bardzo delikatnym problemem, lecz atmosfera, jaka panowała w Delhi dowiodła czegoś zupełnie przeciwnego. Z rozmów, które sam przeprowadziłem wiem, jak bardzo to ogólne zrozumienie wpłynęło na podniesienie na duchu ludzi Wschodu.

Jakie są, zdaniem Pana, niebezpieczeństwa grożące Radzie Ekumenicznej w tym nowym okresie jej historii?

Wolałbym wstrzymać się od mówienia o niebezpieczeństwach, lecz sądzę, że nie należy pomniejszać ogromu pracy, jakiej ten nowy okres będzie wymagał od Rady. Pierwszy to bowiem raz w jej historii, Kościoły ortodoksyjne znajdą się w bardzo bliskich stosunkach z Kościołami, które wyszły z Reformacji. Wielką trudnością będzie dla nas „strawienie" tego bliskiego kontaktu, z punktu widzenia teologicznego.

Kościół ortodoksyjny w strukturze swojej bardzo się różni od protestantyzmu. Jak więc będzie wyglądało nasze efektywne współdziałanie teraz, gdy już nie jesteśmy rozdzieleni?

Drugim zadaniem, które staje przez Ś.R.K. jest konieczność zrozumienia, w jaki sposób Rada Ekumeniczna dojdzie do tego, by móc pracować dla dobra ludzkości na płaszczyznach: kulturalnej, ekonomicznej, a nawet politycznej. Właśnie w jej łonie (i New Delhi dało już tego przykład) mogą mieć miejsce żywe kontakty w sprawach takich, jak Berlin, rozbrojenie..., ponieważ odtąd niemal całe chrześcijaństwo Wschodu spotykać się będzie z chrześcijaństwem Zachodu.

Na koniec, ostatnim zagadnieniem postawionym Ś.R.K. jest problem „Młodych Kościołów".

Teraz, kiedy stanęły one już „na własnych nogach", w jakiej mierze Ś.R.K. może im przyjść z pomocą — i odwrotnie — co one winny uczynić, aby utrwalić swoją niezależność i znaleźć siły twórcze, pozwalające im głosić Ewangelię na swych pogańskich kontynentach.

Czy zdaniem Pana, może zaistnieć jedność działania między Radą Ekumeniczną i konferencjami pokojowymi w Pradze, którym Pan przewodniczy?

Osobiście moim szczerym dążeniem jest ta właśnie jedność działania. Sądzę jednak, że zasadniczym zadaniem dnia dzisiejszego jest doprowadzić do spotykania się. Już teraz, niektóre Kościoły biorą udział w konferencjach praskich, nie uczestnicząc w Radzie Ekumenicznej, i odwrotnie. — Sądzę więc, że konferencje te są bardzo korzystne, przyczyniają się do zwiększenia ilości spotkań, jak również spełniają trudną, lecz ważną rolę pośrednika ze Ś.R.K.

Zresztą, Ś.R.K. wykazała ostatnio dużo dobrej woli; czyż nie zaprosiła do New Delhi generalnego sekretarza konferencji praskich, Pana Ondreę, i czyż spotkanie tych dwóch organizacji nie zostało zaplanowane na najbliższe miesiące?

Chrześcijańska Nadzieja często na Zachodzie jest tylko doktryną... Jak zdaniem Pana, winna ona być przeżywana, tak na Zachodzie, jak i na Wschodzie?

Sądzę, że jeżeli dojdzie do tego, że będziemy mogli spotykać się, wbrew wszystkim ludzkim przeciwnościom, jeżeli osiągniemy umiejętność budowania łączących nas pomostów... wówczas ofiarujemy światu pierwsze żywe świadectwo naszej Nadziei. Obecnie zadanie nasze na Wschodzie polega na udowodnieniu światu niechrześcijańskiemu, że wiara chrześcijańska nie jest jedynie pozostałością historii, lecz rzeczywistością aktualną, która w dzisiejszych czasach istnieje i działa. Nadzieja ta powinna nas uczynić zdolnymi do przeżywania nie minionej, lecz aktualnej wiary. Mówiąc językiem dialektycznym — tak na Wschodzie, jak i na Zachodzie należy postawić zasadnicze pytanie: czy istotnie jesteśmy ludźmi wierzącymi, czy czujemy się wolnymi i czy gotowi jesteśmy nieść pomoc wszystkim ludziom cierpiącym. Jednym słowem, czy naprawdę należymy do Jezusa z Nazaretu.

Tłum. I. K.

KS. RYSZARD TRENKLER

ROZWAŻANIA EKUMENICZNE

Dążności zjednoczeniowe chrześcijaństwa stoją pod znakiem dwóch wielkich wydarzeń: 1) federacji prawie całego chrześcijaństwa nierzymskiego w Światowej Radzie Kościołów i 2) mającego się odbyć jesienią b.r. soboru watykańskieo.

Trzeba przyznać, że ruch ekumeniczny czyni szybkie postępy. Istniejąca dopiero od r. 1948 Światowa Rada Kościołów zdołała w ciągu kilkunastu zaledwie lat objąć swym zasięgiem wszystkie niemal nierzymskie Kościoły chrześcijańskie na bazie dogmatycznej, uznającej Chrystusa za Pana i Boga przy pośredniej implikacji formuły trynitarnej. Jest to baza istotna lecz raczej ogólna, która przynajmniej w obecnej fazie rozwoju ekumenizmu nie mogła być inaczej sformułowana. Brak wszelkiej bazy dogmatycznej jest nie do pomyślenia, gdyż nie byłoby wiadome, co te Kościoły sfederowane łączy, co mimo dzielące je różnice mają wspólnego, zaś bardziej szczegółowo sprecyzowana formuła mogłaby u samych początków być raczej elementem utrudniającym na drodze do jedności. Kościoły, które dotąd żyły nie tylko w rozdzieleniu, ale częstokroć sobie nieprzyjazne, znalazły się teraz pod jednym dachem.

Światowa Rada Kościołów stała się organizacją, obejmującą prawie połowę chrześcijaństwa i odgrywającą ogromną już rolę nie tylko na płaszczyźnie religijno-kościelnej, ale też i międzynarodowej. Jej moralny autorytet w świecie szybko wzrasta tak, że z głosem jej liczy się opinia światowa niewiele mniej niż z głosem Watykanu, który ma przecież za sobą wielowiekową tradycję. Włączenie w New Delhi Kościołów prawosławnych wschodniej Europy do Ekumenii czyni z Światowej Rady Kościołów także poważnego partnera w stosunku do rzymskiego katolicyzmu, który dziś już absolutnie nie lekceważy ruchu ekumenicznego. Integracja zaś Światowej Rady Kościołów

z Międzynarodową Radą Misyjną otwiera zupełnie nowe i szerokie perspektywy dla możliwości misyjnych.

Trudno dziś przewidzieć, jakie będą dalsze losy tej organizacji. Biorąc jednakże pod uwagę stale wzrastający ruch ekumeniczny już nie na szczytach tylko, lecz w dołach, a w szczególności w młodych Kościołach afrykańskich i azjatyckich, co tak jaskrawo się uwidoczniło na III Zgromadzeniu Ś.R.K. w New Delhi, można się spodziewać coraz dalej postępującej konsolidacji chrześcijaństwa.

Od pewnego czasu ruch ekumeniczny został ożywiony przez nowy i szczególnej wagi element. Oto Kościół rzymsko-katolicki, dotąd na zimno i z odpowiedniego dystansu obserwujący wydarzenia ekumeniczne, zaczyna przejawiać coraz głębiej sięgające zainteresowanie jednością chrześcijan, co ma znaleźć szczególny wyraz na zbliżającym się soborze watykańskim. Impuls wyszedł od obecnego papieża Jana XXIII, który, natychmiast po objęciu rządów w swoim Kościele, zmienił w wysokim stopniu stosunek rzymskich katolików do reszty chrześcijan. Słowa takie jak „heretyk", „odszczepieniec" znikły prawie ze słownictwem katolickiego, a jeżeli ktoś użyje takiego określenia, naraża się dziś nawet u swoich współwyznawców na śmieszność. To już coś znaczy.

Tę zmianę klimatu zaobserwować można i w naszym kraju tak tradycyjnie katolickim wraz ze wszystkimi objawami nietolerancji i niechęci w stosunku do niekatolików w przeszłości. Ton prasy katolickiej ze swymi wypowiedziami o Lutrze, Reformacji jest tak pozytywny, że nam protestantom polskim, po tym wszystkim co dotąd było, poprostu wierzyć się nie chce, że to jest możliwe. Coraz częściej się zdarza, że duchowny katolicki w ornacie wchodzi na cmentarz ewangelicki, aby tam pochować na życzenie rodziny swojego współwyznawcę. Bywa też odwrotnie. Duchowny protestancki odbywa ceremoniał pogrzebowy na cmentarzu katolickim. A już zastanawiający był udział przeszło 20 osobowej grupy księży katolickich na nabożeństwie ekumenicznym, odprawionym w kościele ewangelicko-augsburskim św. Trójcy w Warszawie w dniu 22 stycznia b.r. z okazji Powszechnego Tygodnia Modlitwy o jedność chrześcijan. Czegoś podobnego przynajmniej w Polsce jeszcze nie było.

Możnaby się spytać, czy jest nadzieja, że Kościół rzymsko-katolicki przystąpi do Światowej Rady Kościołów? Prawda, że zainteresowania największego Kościoła chrześcijańskiego tą organizacją stale wzrastają. Dowodem tego była też obecność oficjalnej pięcioosobowej delegacji duchownych katolickich w charakterze obserwatorów w New Delhi. Mimo to taki krok ze strony katolickiej wydaje mi się mało prawdopodobny. Bo coby to oznaczało? Kościół katolicki byłby w tym gremium jednym z wielu Kościołów chrześcijańskich, a to naruszyłoby w pewnym stopniu dogmat wyłączności katolickiej. Choć w ostatnich czasach, chyba ze względów taktycznych, tej strony zagadnienia się nie podnosi, to przecież dla nikogo nie jest tajemnicą, że Kościół rzymski uważa siebie za jedyny „prawdziwy" Kościół (pisany przez duże „K"), że ten Kościół a nie inny ustanowiony został przez samego Chrystusa, że temu Kościołowi poprzez apostołów powierzony został depozyt wiary, zachowywany w nim i rozwijany (nowe dogmaty) dzięki stałemu działaniu Ducha św. i że on jeden ma prawo spełniać władzę nauczycielską (magisterium Kościoła). Papież jest legalnym następcą św. Piotra, księcia Apostołów, wypowiadającym nieomylną opinię całego Kościoła a poza tym namiestnikiem Chrystusowym. To stanowisko wyczytać można w każdej dogmatyce katolickiej a obecnie expressis verbis niemal w każdej urzędowej enuncjacji miarodajnych czynników kościelnych (bulla „Humanae salutis", list pasterski episkopatu w sprawie soboru i inn.). Wcześniej czy później Kościoły zrzeszone w Światowej Radzie Ekumenicznej będą musiały się ustosunkować do tych roszczeń czy twierdzeń Kościoła rzymsko-katolickiego. Choć sobór watykański ma podobno dać nową definicję pewnych dogmatów, definicję złagodzoną, aby w ten sposób umożliwić „odłączonym braciom" powrót do Rzymu, nie wydaje się, aby zrezygnowano z istoty tych dogmatów. Z drugiej strony nie wydaje się możliwym, aby nierzymskie chrześcijaństwo przyjęło w tych sprawach punkt widzenia katolicki. Im wcześniej nastąpi skrystalizowanie stanowiska z naszej strony tym lepiej.

Zarówno oficjalne czynniki rzymsko-katolickie jak i katolicy wogóle nawet nie dopuszczają myśli, że zjednoczenie chrześcijaństwa mogłoby się odbyć nie w formie „powrotu" wszystkich innych do Rzymu. Oddziaływanie i emanacja tej myśli jest tak silna, że tu i tam ulegają jej nawet pewne osobistości po stronie niekatolickiej. „No przecież oni nie przyjdą do nas." A czemużby nie? Oczywiście problem „prawdziwości" czy „pierwotności" tego czy innego Kościoła chrześcijańskiego nie da się wyczerpać w jednym artykule a cóż dopiero w kilku zdaniach. Jest to problem bardzo złożony. Ale nieraz jeden szczegół rzuca już jaskrawe światło na całość zagadnienia. „Wierzę w jeden święty p o w s z e c h n y i apostolski Kościół", powszechny a więc katolicki, ale czy rzymski? Czy choćby to nie dopuszcza możliwości, że rzymscy katolicy należą też do „braci odłączonych"? Czy z punktu widzenia historycznego Kościół ortodoksyjny czyli prawosławny, mający również ciągłość tradycji apostolskiej nie ma pełnego prawa do uważanie siebie za ten „prawdziwy", „najpierwotniejszy" Kościół? A nasze Kościoły ewangelickie? Wcale nie mamy tej świadomości, że Kościoły te mają swój początek w XVI w. czy w późniejszych. Działalność Lutra, Kalwina i innych reformatorów pojmujemy jako akcję oczyszczającą Kościół Chrystusowy od ludzkich błędów, nagromadzonych w ciągu wieków i nawrót do chrześcijaństwa apostolskiego. Tak nie tylko mówimy, ale o tym jesteśmy przekonani.

A jeśli chodzi o zewnętrzną stronę kultu? Konia z rzędem temu, kto mi dowiedzie, że obecna forma nabożeństwa katolickiego łatwiej się mieści w czasach apostolskich niż nabożeństwo metodystów czy baptystów. My protestanci mamy prawo wcale nie mniejsze do powiedzenia rzymskim katolikom: wróćcie do pierwotnego ducha apostolskiego, do czystej nauki biblijnej, tak jak myśmy wrócili. Stawianie sprawy na płaszczyźnie „powrotu" przekreśla zgóry wszelkie szanse na zjednoczenie chrześcijan i oddaje złą przysługę sprawie jedności. Nie licząc stanowiska pewnych ekskluzywnych sekt, tylko Kościół rzymsko-katolicki stawia na „powrót". Światowa Rada Kościołów, jak już powiedziałem, wcześniej czy później, będzie musiała się tu wypowiedzieć. Bo pozostawienie tej sprawy na dłuższą metę niejako w zawieszeniu może wzbudzić nieuzasadnione nadzieje u jednych, a w szeregach akatolickich zamieszanie i dezorientację, zgubną w skutkach.

Obecny statut Światowej Rady Kościołów nie wyklucza możliwości przystąpienia Kościoła rzymsko-katolickiego do Ekumenii, bo żaden z Kościołów członkowskich nie potrzebuje się wyrzec swojej nauki czy tradycji. W każdym razie prędzej należy się spodziewać przystąpienia Kościoła rzymsko-katolickiego do Rady Ekumenicznej, aniżeli „powrotu" wszystkich innych Kościołów chrześcijańskich do Rzymu.

MILOŠ BIČ

NOWY CZESKI PRZEKŁAD STAREGO TESTAMENTU

REFORMACJA oparłszy swą naukę na jedynym autorytecie Pisma św. (sola scriptura), rozwinęła szeroko zakrojoną akcję przekładów Biblii na języki narodowe. Przekłady te z niewielkimi tylko zmianami są używane aż dotąd. W ostatnich czasach wśród wielu narodów rodzi się potrzeba zastąpienia przestarzałych przekładów reformacyjnych nowymi. Pojawiły się już nowoczesne przekłady Pisma św. w języku niemieckim i francuskim, a ostatnio nawet w języku angielskim. Opracowuje się przekłady dalsze: węgierski, czeski i polski. Z obcokrajowych przekładów dla nas w obliczu zbliżającej się 400 rocznicy Biblii Brzeskiej niewątpliwie najbardziej interesujący będzie przekład czeski. Już w r. 1925 prof. Fr. Žilka dokonał nowoczesnego czeskiego przekładu Nowego Testamentu bezpośrednio z oryginału greckiego, który jednak mimo już kilku wydań nie stał się dotąd kościelnym tekstem liturgicznym. Ostatnio do nowoczesnego przekładu czeskiego Starego Testamentu zabrał się Ks. prof. Dr Miłosz Bicz, znany starotestamowiec praski, którego osobie i dziełu pragniemy poświęcić nieco uwagi nim oddamy słowo samemu tłumaczowi i nim przytoczymy jego przekład zaopatrzony w odpowiednie komentarze.

Prof. Bicz urodził się w r. 1910 we Wiedniu. teologię studiował w latach 1929—1934 w Pradze, w Marburgu i w Montpellier. W r. 1936 uzyskał w Pradze stopień doktora z zakresu wiedzy starotestamowej. W latach 1934—1950 pracował zrazu jako wikariusz w Pradze, potem jako proboszcz w południowo-zachodnich Czechach, z wyjątkiem pięciu lat wojennych (1940—1945), które upłynęły mu w wielu więzieniach i obozach koncentracyjnych, między innymi w Buchenwaldzie i w Dachau, gdzie dzielił los więźnia z wielu Polakami. Po powrocie do domu nikogo z rodziny, ani rodziców ani rodzeństwa, nie zastał przy życiu.

Jako jedyny w Czechach doktór teologii ewangelickiej z zakresu dyscypliny starotestamentowej, zostaje w r. 1945 powołany na suplenta języka hebrajskiego na wydziale teologii ewangelickiej w Pradze; po roku jest mianowany docentem, w r. 1948 profesorem, w latach 1954—1958 jest prodziekanem wydziału, w roku akademickim 1958/59 zaś wykłada gościnnie, co jest niemałym i niezwykłym wyróżnieniem czeskiego naukowca, w Halli nad Sallą w NRD. — Prof. Bicz na swoim koncie naukowym poza licznymi artykułami w języku czeskim, niemieckim, francuskim i angielskim, drukowanymi w CSRS, NRD, NRF, Holandii, Anglii, Francji i we Włoszech, ma 6 poważnych pozycji książkowych z kapitalnym, obszernym trzytomowym dziełem o Palestynie na czele. Cztery jego książki były w latach 1958—1960 drukowane w NRD i w NRF. Prof. Bicz ze swym praskim kolegą, nowotestamentowcem prof. Pr J. B. Souczkiem jest współautorem wielkiej konkordnacji biblijnej; dotąd z projektowanych 31 zeszytów wyszło od r. 1954 siedemnaście.

E. J.

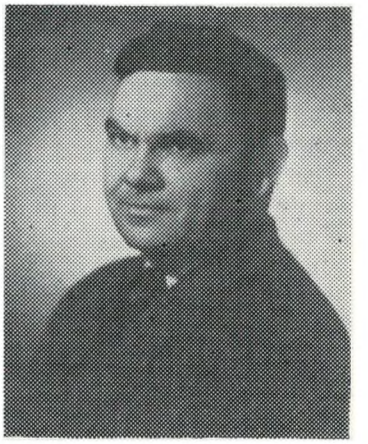

Prof. M. Bič

Od dawna odzywały się głosy, domagające się nowego przekładu Starego Testamentu. Dopiero w lutym r. ub. zebrało się grono osób, które zdecydowały się podjąć tego wielkiego i odpowiedzialnego zadania. Podstawą ich pracy jest tekst hebrajski wzorowego aszerowskiego kodeksu z r. 1008, znajdującego się w leningradzkiej bibliotece publicznej (sygnatura B 19-A). Zarząd biblioteki za zgodą czynników rządowych Związku Radzieckiego pożyczył ten cenny rękopis na dwa lata seminarium ST wydziału teologicznego uniwersytetu w Lipsku. Tą drogą uzyskano tekst o kilka wieków starszy, niż dotąd używany textus receptus w wydaniu Ben Chajima w Wenecji 1524/25. Pierwsze wydanie tekstu aszerowskiego przygotowali do druku profesorowie A. Alt, O. Eissfeld i P. Kahle jako trzecie wydanie Kittlowskiej Biblia hebraica r. 1937. Dotąd wyszło już dziesięć wydań tego tekstu.

Nowy przekład ST nie może być sprawą jednostki albo mniej-

szej tylko grupki zaintersowanych osób, aczkolwiek musi być dokonany przez jednostkę, czy mniejszą grupę specjalistów. Zdajemy sobie sprawę z tego, że nasz przykład nie stanie się naraz tekstem liturgicznym, że wprzód musi przejść przez gęste sito ostrej i surowej krytyki. Narazie więc traktujemy go jako tekst roboczy, który może być używany najwyżej przy godzinach biblijnych itp. Oprócz mnie w pracy bierze udział 8 duchownych; nad stroną językową czuwa profesor bohemista. Poszczególne ustępy Pisma św. opracowują indywidualnie członkowie komisji tłumaczeniowej, poczem przekład i komentarz zostaje poddany wspólnej rewizji i ostatecznie za jednomyślną zgodą wszystkich członków komisji zostaje ustalona ostateczna redakcja.

Tekst biblijny pozostawiamy w dotychczasowym podziale na rozdziały i wiersze, ale ujmujemy go w specjalne ustępy, zamykające w sobie zwartą myśl. Chodzi nam o przekład płynny i wierny. Tu i ówdzie dla jaśniejszego wyrażenia myśli jesteśmy zmuszeni dodać słowo, którego brak w oryginale, ale zawsze uwidaczniamy go specjalną czcionką. Ponieważ dawniejsze przekłady niejednokrotnie rozmaicie pojmowały niektóre wyrażenia biblijne, uwidaczniamy je w specjalnym aparacie krytycznym, przeznaczonym dla specjalistów; zwykły czytelnik Pisma św. wszelkie wyjaśnienia znajdzie w dołączonych komentarzach, w których — niestety — niepodobna było uniknąć polemiki z innymi, błędnymi wyobrażeniami, które w wielu wypadkach zadomowiły się już w Kościele, ale w imię prawdy niepodobna ich tolerować.

Najistotniejsza jednak zmianą nastąpiła w zakresie imion własnych, które podajemy w brzmieniu oryginalnym, a więc Chawwa = Ewa, Kajin = Kain, Hebel = Abel, Noach = Noe itd. Zdecydowaliśmy się na to ostatecznie po dokładnej rozwadze: wiele imion biblijnych posiada charakter zwiastujący, a zgrecczenie czy zlatynizowanie imienia charakter ten zaciera. Podobnie przywracamy pierwotne nazwy ksiąg biblijnych, dla których pragniemy wprowadzić ustalone skróty, do których oczywiście trzeba będzie się przyzwyczaić.

Po tych wstępnych uwagach podaję przekład dwóch pierwszych wierszy I księgi Mojżeszowej, którą nazywam I księgą Zakonu (w skrócie 1Z) z dołączonym do niej apratem naukowym dla fachowców i komentarzem dla laików.

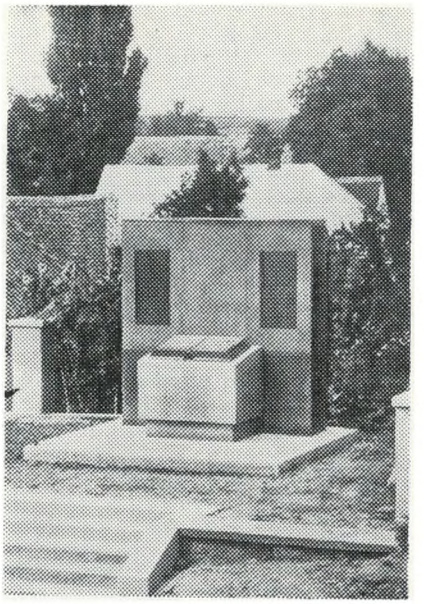

Pomnik Biblii Kralickiej

1. STWORZYCIEL I STWORZENIE 1Z 1,1—2

Treść biblijnego świadectwa: Chwała stworzycielskiego dzieła Bożego. Obietnica i przestroga.

1. Na początku stworzył Bóg 1) niebo i ziemię 2).
2. Ziemia stała się jednak gęstwiną i mętwiną 3) a mrok był nad przepaścią 4). Ale Duch Boży 5) wznosił się nad wodami 6).

1) ELOHÍM. — 2) O morzu nie ma tu mowy. — 3) TÓHÚ VBÓHÚ, AORATOS KAI AKATASKEUASTOS = niewidzialna i nieuporządkowana, podług Septuaginty Wulgata tłumaczy: próżna i pusta —

Karta tytułowa Biblii Kralickiej

4) TEHOM, por. TI/H/ÁMAT. — 5) Gerhard von Rad: Das erste Buch Mose (ATD), 6 wyd. Göttingen 1961 tłumaczy: Gottessturm, furchtbarer Sturm. — 6) por. Rz. 8,19—23.

Z jaką oczywistością jest tu wypowiedziane słowo „B ó g"! „Zdanie, że Bóg jest, zawdzięcza ludzkość ST" (Köhler: Theologie 1936[1]). On j e s t. Na tej pewności wiary spoczywa całe świadectwo biblijne. Nie mędrkuje się, skąd jest, jak to, że jest itp. On zwyczajnie jest „Pierwszy i Ostatni" (Jj, 41, 4 — Jj = Jesza jáhu, Izajasz. Stworzyciel i Pan wszystkiego. O NIM niepodobna mówić jak o bóstwach, że się urodził albo że został spłodzony, ON nie jest z nikim i z niczym związany, owszem wszystko zależne jest od Niego. On jest po prostu niezrównany, nie do porównania (Jj 41, 21—29).

Tekst oryginału na oznaczenie Boga używa słowa ELOHIM. Jest to wyrażenie znane również w świecie pozaizraelskim, podobnie jak nasz „Bóg" jest nie tylko pojęciem chrześcijańskim. Pisarz starotestamentowy świadomie jednak używa tego wyrażenia i chce tym dać do zrozumienia, że i poganie wyczuwają egzystencję Stworzyciela. Gdzie jednak będzie chodziło o zbawczy moment czynności Bożej, autor użyje słowa inego, a mianowicie JAHVÉ (PAN, por. 2Z 3, 14). Narazie pragnie wydać świadectwo o stworzycielskim dziele Bożym i dlatego mówi o ELOHÍM.

Kierunki teologiczne zaprzątające się ustalaniem literackich źródeł, z których stopniono został zestawiony tekst starotestamentowy, dostatecznie nie uwzględniają teologicznego zamiaru podania, i używanie różnych tych określeń Bożych ELOHÍM i JAHVÉ traktują jako podstawę umożliwiającą im rzekomo dochodzenia domniemanych autorów czy szkół.

Ich zdaniem 1Z 1 należy właśnie do źródła czy do warstwy P, tzn. Prierterkodex (kodeks kapłański), którego dalszy ciąg odnajdują dopiero w rodziale 5. Podobno pierwotny kontekst został rozerwany obcą ręką, która włączyła do niego rozdziały 2—4, pochodzące z innego źródła czy warstwy, a mianowicie z warstwy J (= jahvista), nazwanej według tego, że używała na oznaczenie Boga imienia JAHVÉ. Ponieważ teoria ta, którą zainicjował francuski lekarz Jean Astruc już w r. 1753, wywarła olbrzymi wpływ na badania starotestamentowe zagranicą, przy okazji nie omieszkamy zwrócić uwagę na nieodpowiedzialność tej metody. W świecie nauki metoda ta została nazwana Quellentheorie, tj. nauką o źródłach literackich. Bliżej traktuje o tym Bič: Palestyna III, 177nn.

Bóg s t w o r z y ł. Jest to stworzenie jedyne i niezrównane. Użytego tu hebrajskiego słowa BARA nigdy nie używa się dla określenia ludzkiej czynności: nikt

nie potrafi tworzyć tak, jak Bóg. Kiedy Bóg tworzy, to to, co nie jest, dostaje kształt i sens, Bóg powołuje do życia i całemu stworzeniu wyznacza cele. Nie ma tu mowy o tym, z czego Bóg tworzy. Przy czasowniku BARA ani razu nie spotykamy wzmianki o materiale, i dlatego później żydostwo i chrześcijaństwo mówią już wprost o stworzeniu z niczego (najwidoczniej po raz pierwszy w 2Mach 7, 28, por. Żyd 11,3). ST nie dopuszcza się jakichkolwiek spekulacji na ten temat, lecz zadowala się zwyczajnym i prostym wyznaniem, iż wszystko, cokolwiek jest, jest dziełem łaski Bożej. Jest to dzieło Jego rąk, mówiąc oczywiście obrazowo, albowiem Bóg nie tworzy jak człowiek. Wystarczy Jego słowo, i staje się (Ps 33, 9). O tym wyjątkowym sposobie tworzenia Bożego mówią miejsca biblijne: Jj 40, 26, 28 45, 18 Ps 148, 5. O nowym sworzeniu jest mowa u Jj 65, 17 Ps 102, 19, por. również Ps 51, 12 oraz Nj 9, 6 (Nj = Nechem-já, Nehemiasz), Jrj 27, 5 32, 17 (Jrj = Jirme-jáhu, Jeremiasz), Dz 4, 24 14, 15 17, 24 i inne. Biblijne opowiadanie o stworzeniu wcale nie jest i nie chce być naukowym wykładem o powstaniu Kosmosu, lecz świadectwem o nieskończonej miłości i mocy Bożej. Wszystko jest zrobione ze względu na człowieka (por. Jj 44, 24 Ps 136, 5—9).

N a p o c z ą t k u. Tym słowem Pismo św. zaznacza, że cały świat i wszystko na nim ma swój początek, a więc i koniec. Dla człowieka na zawsze pozostanie tajemnicą, co było przed tym początkiem (Jb 38,4 — Jb = Ijjob, Job = Hiob), tak iż można nawet mówić o wieczności ziemi (Kaz 1, 4). Nie powinniśmy jednak zapominać, że hebrajskie OLÁM bynajmniej nie oznacza wieczności w sensie nieograniczonego czasu, lecz zawsze oznacza nieograniczony jakiś okres (por. 2Z 21, 6). Wielkie i wspaniałe w biblijnym zwiastowaniu jest właśnie to, że Biblia nie puszcza się do jakichkolwiek spekulacji na tematy, które są niedostępne dla człowieka. Wychodzi z początku danego przez samego tworzyciela (por. Ps 90, 2 102, 26 Żyd 1, 10, także Pr 8, 22—31 (Pr = Proverbia, Przypowieści) J 1, 1—3, i upatruje cel, do którego wszystko zmierza w nowym Bożym stworzeniu (Jj 65, 17 66, 22 Ob 21, 1). Ludzie starożytnego Wschodu obracali się natomiast w zaczarowanym kole bez początku i bez końca, w którym płynęły lata i wieki, a człowiek toczył się w nieskończonym łańcuchu zrodzeń i umierań, podobnie jak przyroda w niekończącym się kołobiegu okresów deszczów i letniego skwaru.

N i e b o i z i e m i e. Komentarze nowoczesne na ogół w tym określeniu upatrują określenie Kosmosu. Nie mniej uderza, że nie ma tu mowy o morzu, aczkolwiek i ono jest dziełem Bożym (2Z 20, 11). O morzu nie mówi się tu jednak celowo. Dla starożytnego człowieka Wschodu, a więc i dla Izraelity morze było żywiołem antyboskim i wrogim. Dlatego to w nowym stworzeniu już morza nie będzie (Ob 21, 1). Z tego punktu widzenia należy pojmować starotestamentowe miejsca Ps 89, 12 115, 15n 121, 2 134,3. Wszędzie tu mowa o Bożej pomocy dla Jego wiernych: Bóg dla swego ludu tworzy nową ziemię i nowe niebo, dla siebie, niebo, dla swego stworzenia ziemię; w nowym stworzeniu nie może więc być morza, albowiem w nowym stworzeniu zanika wszystko złe i sam Zły (por. Rz8, 35—39 Mt 8, 24—26). 1Z1, 1 jest wyjątkowy przez to, że na czoło biblijnej wieści wysuwa obietnicę. Objawiona nam tu zostaje tajemnica planu Bożego stworzenia odpowiednich warunków dla społeczności człowieka z Bogiem. Wszystko inne jest podporządkowane temu zamiarowi.

Wspaniała perspektywa wersetu 1 rozwiewa się całkowicie, jak tylko niknie, niebo, a pozostaje sama z i e m i a. Ziemia bez nieba staje się „gęstwiną i mętwiną" (por. 2, 5n), jest „niesliczna i pusta". Egzegeci stoją tu przed zagadką. Jedni sądzą, że chodzi tu o prastan ziemi nim ją Bóg sformował, inni mówią o upadku Lucyfera (patrz Ł 10, 18), który podobno po swym strąceniu z nieba wprowadził ziemię w stan chaosu, z którego ją dopiero Bóg stopniowo przyprowadził do porządku. Oba wykłady są niebiblijne. Wyjdźmy raczej z wyrażenia „gęstwina i metwina" (po czesku „poušť a spoušť", co lepiej odowiada hebrajskiej konstrukcji TÓHÚ VABÓHÚ — uwaga moja. E. J.). Podobną konstrukcję spotykamy u Jj 34, 11 i u Jrj 4, 23, gdzie mowa o następstwach sądu Bożego nad ziemią z powodu jej niewierności i buntu. Bóg takiej ziemi nie chce (Jj 45, 18 — TOHU = na próżno). O ile więc w pierwszym wreszcie jest mowa o obietnicy, to w wierszu drugim wyraźnie występuje przestroga. Oba wiersze są więc obu stronami jednej rzeczy.

Stworzenia „nieba i ziemi" wskazuje na najściślejszy między nimi związek i na społeczność człowieka jako na właściwy cel stworzenia. Lecz ziemia bez nieba staje się tylko strasznym chaosem, w którym niemożliwe jest życie. Wszystko pochłonął mrok, który podobnie jak morze i zło, jest antyboski. Dlatego też w pierwszym stworzycielskim czynie Bożym mrok zostaje przyzwyciężony światłem (1Z 1, 3). Ale czyż może być coś, czegoby Bóg nie stworzył? Dlatego też prorok nie waha się stwierdzić, że Bóg stworzył również mrok (Jj 45, 7), podobnie zresztą jak jest również Panem morza (Jo 1, 9 — Jo = Jóná, Jonasz). Absolutnie wszystko, nawet zło musi służyć Jego celom (1Z 50, 20).

W chaotycznym mroku przedziwnie ginie ziemia i pozoje sama tylko p r z e p a ś ć. Potworność i grozę tej sytuacji wyczuwa nawet czytelnik dzisiejszy. Izraelita jednak w pojęciu TEHOM — przepaść upatrywał wyraźną aluzję do TI/H/ÁMAT, tj. do straszliwego potwora babilońskich mitów, który panował w poprzednim okresie; z eonu Tiamatu zrodził się dopiero później bogowie a to tak, że Bóg Ea czy Marduk pokonał go w straszliwej walce i z obu połów rozciętego potwora stworzył niebo i ziemię. Mit ten był znany na całym Bliskim Wschodzie, a więc oczywiście również Izraelowi. Ale o ileż mocniejszy i sławniejszy jest jego Bóg, Pan, który samym słowem przezwycięża chaos, będąc sam jednocześnie wysoko wzniesiony ponad wszelkimi wściekłymi wyczynami chaosu. D u c h B o ż y w z n o s i ł s i ę n a d w o d a m i zupełnie tak samo jak nad przepaścią. Jedyny to i wyjątkowy obraz niepojętnego rodziału Boga od tego wszystkiego, co rozgrywa się głęboko pod Nim w przepaści. Bóg z chaosem nie ma nic wspólnego (por. jak jest również wywyższony nad ludzkim mrowiem, Ps 2, 1—4). Ale nie pozostawia swego dzieła na łup mrokowi, aczkolwiek gdzie się Bóg oddali, tam ginie życie (Ps 104, 29n). — G. v. Rad zamiast „Duch Boży" tłumaczy „wiatr Boży, straszny wicher". Tekst oryginału możnaby ostatecznie i tak tłumaczyć, albowiem zdaniem v. Rada ma to domalowywać stan chaosu wersetu drugiego. Wykład ten jednak pozbawia nas swoistej teologicznej pointy biblijnej wypowiedzi.

Niesłuszny byłby wniosek, gdybyśmy chcieli twierdzić, że Pan najprzód stworzył c h a o s. Pierwszym Bożym stworzeniem jest światło (1Z 1, 3). Nic nas nie upoważnia do wyciągania wniosku jakoby Bóg je stworzył dopiero wówczas, kiedy pierwsze Jego stworzenie uległo skażeniu i popadło w chaos. Jeżeli tu o nim mowa, to tylko dlatego, że pisarze biblijni mówią językiem i pojęciami swoich czasów. Sens ich wypowiedzi jest jednakże jasny: jeżeli życie jest w Bogu i tylko w Bogu, to bez Boga jest chaos i śmierć. I tak werset 2 jest odwrotną stroną wersetu 1, ale oba stawiają człowieka na rozdrożu z koniecznością powzięcia nieuniknionej i ostatecznej decyzji (por. 5Z 30, 19). Pismo św. zaraz na samym początku pokazuje obie drogi, i chce powiedzieć, że człowiekowi grozi ustawicznie niebezpieczeństwo; dlatego też wzywa do czujności (Ps 119,29). I znowu nie mędrkuje, jakże się to stać mogło, żeby zrodziło się takie niebezpieczeństwo skoro przecież Bóg wszystko stworzył. Po prostu liczy się z faktem niebezpieczeństwa, o którym tylko sam Bóg wie, dlaczego istnieje. My bowiem poznajemy tylko z cząstki (1K 13, 12).

tłumaczył E. J.

JAN WANTUŁA

Nakładem wydawnictwa „Śląsk", w serii wydawniczej „Zasłużeni ludzie Śląska", ukazała się w 1959 r. ślicznie wydana książeczka Gustawa Morcinka o Janie Wantule. [1]).

Z lekko płynącej Morcinkowej gawędy wyłania się znana i popularna w Polsce postać samouka i bibliofila śląskiego. Spróbujmy przypomnieć Czytelnikom tę niezwykłą sylwetkę.

Jan Wantuła urodził się 20 listopada 1877 r. w Ustroniu pod Czantorią, w starej śląskiej rodzinie ewangelickiej. Pierwsze nauki odbierał u matki, która przekazała mu umiejętność czytania i pisania. Tak podkształcony powędrował do prywatnej szkoły ewangelickiej w Ustroniu, gdzie pierwszym podręcznikiem był „(...)jakiś stary „szlabikorz", czyli elementarz drukowany jeszcze szwabachą. Później dopiero nadeszła pora wyuczenia się abecadła łacińskiego (...) Mizerne to jednak było owo nauczanie w ustrońskiej trzyklasowej szkole. Wantuloszek rzadko bowiem do niej zachodził, bo któż by pasał krowy, aże któż? I aczkolwiek bywał w niej jakby gościem, mądry nauczyciel, pan Jerzy Michejda, dał mu wiele, a przede wszystkim wzbudził w nim głód książki." [2]).

Mały chłopak, jakim był wówczas Wantuła, sięgał do wszystkich dostępnych mu druków, które mógł znaleźć w domu rodziców. A były to książki nie byle jakie: przeróżne postylle, kancjonały, biblie, a nawet „Psałterz" Kochanowskiego i „Żywoty Świętych" Skargi; większość z nich to „białe kruki", foliały o bezcennej wprost wartości pierwodruków. Zetknięcie z tymi księgami pozostawiło niezatarty ślad w życiu Wantuły, rzutowało na jego późniejsze zamiłowania i zacięcie bibliofila. Książki wpłynęły na skrystalizowanie jego poglądów i przekonań, bowiem z nich dowiedział się „(...) a zwłaszcza z pierwszej książki o Polsce, z „Wieczorów pod lipą", że jest Polakiem, a nie jakimś „Wasserpolakiem", (...)i że nie jest ani „popolszczonym Morawcem", (...)i że nie jest ani „Szlązokiem" nie mającym nic wspólnego z polskością." [3]).

Niestety, wbrew swym najgłębszym pragnieniom i marzeniom nie mógł Wantuła uczęszczać do średniej szkoły (zbyt ubodzy byli jego rodzice), musiał zacząć pracować w hucie żelaza w Ustroniu. W ten sposób zarabiał na swe utrzymanie.

Był to okres żywej walki robotników śląskich z narastającym uciskiem „chlebodawców". Jedną z najczynniejszych postaci w organizowaniu ruchu hutników (Związek Robotników Metalowych w Ustroniu) stał się właśnie Wantuła.

Niezwykle aktywny, o duszy i usposobieniu urodzonego społecznika, ani chwili nie spędził bezczynnie. Na odziedziczonej po rodzicach ziemi założył pachnący kwiatami grusz i jabłoni sad. Ten sad i pszczoły stały się źródłem (skromna pensja nie wystarczała na zakup książek) jego wspaniałego księgozbioru.

Wantuła był twórcą pierwszej publicznej wypożyczalni książek w Ustroniu. Gdy hitlerowcy spalili doszczętnie bibliotekę, tuż po skończonej wojnie Wantuła zapoczątkował powstanie nowej wypożyczalni, ofiarowując ze swego prywatnego księgozbioru 350 tomów.

Był założycielem amatorskiej sceny teatralnej w Ustroniu. Żywe słowo polskie docierało do Ślązaków już nie tylko z książek, padało twardo i wyraźnie ze sceny, gruntując tym jeszcze silniej poczucie polskości i przywiązania do ich prawdziwej ojczyzny.

Pisywał Wantuła do różnych pism polskich takie artykuły, które zwróciły na niego uwagę Hulki-Laskowskiego, Bolesława Prusa, Orkana, Ochorowicza i w. in. Wszyscy ci ludzie byli oczarowani niezwykłym umysłem i rozległą wiedzą cichego i skromnego „starzyka". Wielu z nich weszło do kręgu jego najbliższych przyjaciół. Często wśród gości Wantułowego domu bywali profesorowie uniwersytetu, studenci piszący prace magisterskie, naukowcy i badacze. Od skromnego i niepozornego „starzyka" dowiadywali się rzeczy, których i najmądrzejsze księgi nie notowały. A w bibliotece jego znajdowali księgi-unikaty, często jedyne egzemplarze pierwodruków lub rękopisów, któ-

[1]) Gustaw Morcinek — Jan Wantuła, Katowice, 1959, wyd. „Śląsk".

[2]) j.w., str. 13.

[3]) Op. cit., str. 18 i 19.

re Wantuła zgromadził w ciągu swego życia. Świętością i wielkim umiłowaniem darzył on te świadectwa wielowiekowej kultury polskiej. Zbierał je skrzętnie, docierał do starych śląskich chałup, grzebał po piwnicach i strychach wynajdując rękopisy, pierwodruki, manuały. Pisał później o nich ciekawe i często odkrywcze prace i artykuły. Ta mrówcza skrzętność i pracowitość kojarzą mi postać Wantuły z innym wielkim Polakiem — Bogumiłem Linde.

W bibliotece Wantuły znalazły się m.in. takie „białe kruki", jak: Apocalipsa Mikołaja Reja, drukowana w 1565 r. u Macieja Wierzbięty, rękopis pierwszego chłopskiego diariusza, którego autorem był góral Jury Gaydzica i w.w. in.

Jan Wantuła, jedna z najpiękniejszych postaci Śląska, jest związany nierozerwalnie z Polską, której ten niezwykły człowiek poświęcił serce i wszystkie swe umiejętności. I pięknie napisał o tym Morcinek: „Polskość dla takich ludzi jak Wantuła była świętością".

B. SŁ.

ZYGMUNT WOLAŃSKI

NOWE SPOJRZENIE KATOLIKÓW NA REFORMCJĘ

Po artykule Ks. Biskupa Kominka, zamieszczonym w „Tygodniku Powszechnym" z dnia 1 października 1961 roku, ukazał się kolejny artykuł Ks. Kazimierza Hoffmana o „Rewizji poglądów na Lutra i Reformację".

O ile pierwszy artykuł Ks. Biskupa Kominka, utrzymany w bardzo przychylnym dla „odłączonych braci" tonie, był jedynie apelem do okazywania „odłączonym" dobrej woli, artykuł Ks. Hoffmana zaskakuje śmiałością oceny postaci Lutra i całej Reformacji.

Autor informuje o rewizji poglądów na dzieło Lutra i Reformację, o używanych wciąż jeszcze podręcznikach szkolnych, w których w naiwny i niezgodny z prawdą sposób charakteryzuje się postać Lutra i ocenia Reformację, jako rewolucję będącą wyrazem buntu przeciw władzy kościelnej, nie wspomina się zaś ani słowa o jej dziejowej konieczności.

Artykuły Ks. Hoffmana, w których wykazywał znajomość problematyki ekumenicznej, cechowała zawsze rzetelna informacja i duża znajomość tej żywej w świecie protestanckim tematyki, przebijał w nich spokojny i trzeźwy ton oceny, a informacje były zawsze interesujące.

Ostatni artykuł, zamieszczony w „Tygodniku Powszechnym" (Nr 3/678 z dnia 21 stycznia 1962 r.) informuje czytelnika katolickiego o nowych pracach teologicznych, które poddają gruntownej rewizji dawne poglądy na dzieło Lutra i ruch reformacyjny.

Na wstępie autor przyznaje, że Sobór Trydencki nie usunął przyczyn rozdarcia i nie uleczył stosunków kościelnych. Długo trzeba było czekać na zmianę. Przyniosły ją dopiero ostatnie lata wraz z nową fazą ożywienia tendencji ekumenicznych. Ks. Hoffman przytacza szereg nazwisk teologów katolickich, którzy w swych dziełach, a te zaliczane są do czołowych pozycji w katolickiej literaturze teologicznej, ukazują zupełnie odmienny obraz Lutra i pozytywnie oceniają Reformację. Wymienione w artykule prace przynoszą oczywiście tylko częściową rehabilitację Lutra, lecz w zestawieniu z używanymi u nas podręcznikami i uporczywym opieraniem się o dzieła, które nie mają dla swej oceny żadnej podstawy historycznej, stanowią dalszy krok naprzód w dziedzinie zmiany poglądów na Reformację.

Ks. Hoffman stwierdza, że różnice i dzielący nas dystans, spowodowane są w znacznej mierze na skutek wzajemnych niedomówień, choć cytując prace teologów katolickich ostatnich lat, które w swoich poglądach zrywają z przestarzałymi ocenami przyszłości, nie wspomina , że teolodzy protestanccy w swoich dziełach nigdy nie stosowali „szermierki" wyznaniowej, która zaprzecza często prawdzie historycznej. Uznaje też konieczność kontynuowania dalszych prac teologicznych w tym kierunku i pisze:

„Opinie, które do mniej więcej trzydziestych lat bieżącego stulecia istniały w katolicyźmie o Lutrze, a także o Reformacji, szczególnie wskutek antyprotestanckich prac o Lutrze, coraz wyraźniej ulegają dziś zmianie".

Potwierdza to na przykładzie nowych prac teologów katolickich, którzy poddają rewizji niektóre dotychczasowe poglądy na Reformację i dzieło Lutra. Przyznaje również, że ta bliższa prawdzie historycznej ocena, odbiega, a nawet zaprzecza charakterystyce Lutra i ocenie Reformacji, jaką spotkać można w stosowanych do dziś podręcznikach katolickich, a przecież niestety, właśnie na nich kształtuje się poglądy młodzieży.

„W świetle nowszych (powyżej cytowanych) prac historyków katolickich, charakterystyka Lutra przedstawia się zupełnie inaczej. Oto jakkolwiek Luter był nerwowo wrażliwy, to jednak nie może być mowy o skłonności jakiejś do choroby psychicznej czy nerwowej we właściwym tego słowa znaczeniu. Do klasztoru wstąpił dlatego, ponieważ złożył przysięgę, że zostanie zakonnikiem, kiedy zaskoczyła go niespodziewanie gwałtowna burza. Niemniej intencja jego, by sprostać temu, do czego się zobowiązał, była uczciwa i szczera. W klasztorze był zakonnikiem wzorowym i gorliwie oddawał się studiom teologicznym. Przełożeni powierzali mu odpowiedzialne stanowiska i zadania. Mimo, iż w swej nauce Luter głosił zasady z katolicką doktryną de facto niezgodne, to jednak nie zdawał sobie z tego sprawy i nie miał takiego zamiaru. Głosząc zaś zasadę, że zbawienie można osiągnąć przez samą wiarę, nie tylko nie przekreślał dobrych uczynków, ale znacznie ich nieraz akcentował".

Na potwierdzenie powyższego, przytacza autor fragmenty z dzieła Lutra i wspomina, że właśnie na ostatnim zgromadzeniu Egzekutywy Luteranów w Warszawie, biskup luterański Bawarii mówił o dobrych uczynkach.

„Tez swoich nie głosił Luter, by z Kościołem walczyć lub, co więcej, do walki z Kościołem nawoływać szerokie rzesze niemieckiego społeczeństwa. Gdyby zamierzał wywoływać swymi tezami antykościelną rewolucję, zredagowałby je po niemiecku, a nie po łacinie. Najbliższym ich celem było zaproszenie do akademickiej dysputy. Inna sprawa, iż mimo to, echo na tezy w społeczeństwie niemieckim stało sie bardzo mocne. Papież nie widział powodu, by sprawą Lutra zainteresować się dokładniej. A kiedy tymczasem inni przełożeni kościelni zaczęli Lutra piętnować jako heretyka — Luter z Kościołem zerwał".

W świetle ożywiających tendencji ekumenicznych uznaje autor konieczność interesowania się postacią Lutra i poddania rewizji dotychczasową ocenę. To należy się jednak całej Reformacji w imię prawdy historycznej, a nie tylko jako celu , który dyktuje konieczność chwili.

Ks. Hoffman śmiało przyznaje, że „Reformacja powstała nie tyle wskutek błędnych przekonań Lutra, ile raczej w wyniku niedomagań w Kościele katolickim ery renesansu. Nie byłoby prawdopodobnie Reformacji, gdyby Sobór Laterański V (r. 1512) przeprowadził był gruntowną reformę Kościoła. Niestety, sobór ten nie spełnił oczekiwań, jakie pokładał w nim świat katolicki. Luter nie zniósłby kapłaństwa jako sakramentu, gdyby hierarchia i kler jemu współczesny stali na poziomie swego posłannictwa. Nie zniósłby tradycji jako źródła wiary, gdyby kościelna tradycja współczesna mu, nie była pełna czysto zewnętrznej pobożności pomieszanej z zabobonami".

Autor zastrzega się przed apoteozowaniem Lutra, ale wyraźnie mówi o konieczności rewizji poglądów na Lutra i jasno wyraża to żądaniem:

„Przestańmy wreszcie Lutra uważać za narzędzie szatana, chciejmy go zrozumieć i tych, co za nim poszli, a będziemy się mogli spodziewać, że protestanccy nasi bracia w Chrystusie również na papieża nie będą patrzeć jako na instytucję obcą duchowi Chrystusowemu".

Uderza również, że Ks. Hoffman nie używa niemiłego słowa „bracia odłączeni' lecz zastąpił je w swoim artykule, bardziej duchowi ewangelii odpowiadającym określeniem — bracia w Chrystusie. Odłączeni jesteśmy od siebie wzajemnie i nie możemy się na to zgodzić, aby w prawdziwym braterstwie usankcjonowane były prawa starszeństwa, a zwłaszcza wtedy, gdy w imię historycznej prawdy odejście braci było tylko koniecznością chwili, a pożegnanie — owocem doznanego zawodu.

W końcowej części artykułu autor stwierdza, że w świetle katolickim „coraz rzadziej uważa się Reformację za bezpodstawną rewolucję, która nie wiadomo dlaczego burzyła dotychczasowy kościelny porządek i rozrywała kościelną jedność. Coraz częściej ocenia się ją, jako w dużej mierze zrozumiałą reakcję historyczną przeciwko kościelnemu upadkowi ery renesansu, oraz jako ruch, którego celem była odnowa chrześcijańskiego życia".

Wyrazem rehabilitacji Reformacji jest uznanie jej postulatów dotyczących chrześcijańskiego życia, powszechnego kapłaństwa oraz chrystocentryzmu chrześcijańskiej pobożności. Zdaniem Ks. Hoffmana. momenty te, zaniedbywane przez katolicyzm w dobie renesansu, dziś pielęgnowane są przez Kościół katolicki. Rozważania swoje kończy autor stwierdzeniem, że „częściowa rehabilitacja Lutra i Reformacji nie tylko stanowi cenną wartość dla nauki, szczególnie dla historii Kościoła, ale także przyczynia się do umocnienia katolicko-protestanckiego klimatu ekumenicznego".

ALINA NAMYSŁOWSKA

KSIĄDZ MANITIUS, JAKIM GO PAMIĘTAM

Dnia 30 stycznia br. upłynęło 22 lat od męczeńskiej śmierci Ks. Gustawa Manitiusa, proboszcza parafii ewangelicko-augsburskiej w Poznaniu, seniora diecezji wielkopolskiej. Aresztowany 9.X.1939 r. i osadzony w Forcie VII został zasiekany kijami przez pijaną tłuszczę w nocy 30 stycznia 1940 r.

O tej pamiętnej nocy wspomina Ojciec Edward Frankiewicz w swej książce „Człowiek poza nawiasem" (Warszawa, 1955, Pax), w której pisze na str. 22: „Wtedy strażnik wywołał mego sąsiada pastora M.", oraz dalej na str. 23: „Mój zacny sąsiad i towarzysz pastor M. już nie wrócił do celi. Po 2 dniach rozdzielono jego paczkę żywnościową, ubranie i rzeczy osobiste."

Wiadomość o tym dotarła na wiosnę 1940 r. do moich uszu. Trudno było w nią uwierzyć, gdyż nie wiedzieliśmy jeszcze do czego zdolni są Niemcy.

Postać Ks. Manitiusa najlepiej wryła mi się w pamięć na lekcjach religii, które odbywały się po południu w Gimnazjum Karola Marcinkowskiego. Na nabożeństwach niedzielnych był zawsze bardziej oddalony i mniej uchwytny. Pamiętam wszakże jego głos równy i opanowany, a także bardzo wyraźną dykcję. Kazania miały charakter wybitnie intelektualny, były „uniwersalne" tj. dla wszystkich chrześcijan wszystkich czasów. Nie było w nich ani śladu fanatyzmu, czy też ciasnoty.

Widzę jeszcze teraz pochyloną nieco postać, głęboko osadzone oczy w cieniu krzaczastych brwi oraz szczupłą i rasową twarz. Ks. Manitius przypominał mi Rzymianina, w każdym razie, nie miał słowiańskich rysów.

Przy swej głębokiej wiedzy i inteligencji był skromny i bezpośredni. Nie posiadał chyba wrogów — rzecz rzadka, gdy jest się na jakimś wyższym stanowisku.

Gdy tylko wchodził do klasy na swe popołudniowe lekcje religii, milkł gwar rozprawiającej młodzieży — budził we wszystkich

szacunek. Nie brak mu wszakże było poczucia humoru i nie raz lekcje religii bywały wesołe. Kiedy pewnego razu roześmiałem się głośno, czytając jakiś werset z Pisma św. (w najbardziej nieodpowiednim do tego miejscu) i czekałam przerażona na wybuch oburzenia, Ks. Manitius spytał lekko zdziwiony i ubawiony: „Co też tam mogłam znaleźć śmiesznego?“ Byłam uratowana.

Jest coś takiego w każdym wybitnym człowieku, jakiś magnes wewnętrzny, który przyciąga innych. Takim właśnie urokiem promieniował Ks. M. Nie zapomnę pytania, jakie mi zadał na zakończenie lekcji przygotowawczych do konfirmacji: „Może to wszystko mi nie odpowiada i nie chcę być konfirmowana?“ Spojrzałam zdumiona. Wtedy dodał jeszcze, że zdarzały mu się wypadki rezygnacji. Dopiero potem uświadomiłam sobie, jak wielki szacunek żywił nasz proboszcz dla cudzych przekonań, jak dobrze rozumiał indywidualność jednostki. Nie chciał nikogo „ciągnąć siłą“.

Odszedł od nas przedwcześnie, ale rozumiał na pewno dobrze, za jaką sprawę dane mu było umrzeć.

A śmierć jego i tych wszystkich, którzy zginęli razem pamiętnej nocy w sławnym Forcie VII w Poznaniu, trwa w swej wartości niezmiennie po wszystkie czasy. Dla jednych jako przykład, a ostrzeżenie dla innych.

Co piszą inni?

Trzeźwy głos o zjednoczeniu

W numerze 8 „Słowa Powszechnego“ umieszczono tłumaczenie polskie artykułu, napisanego przez O. Neophyta Edelby, sekretarza patryjarchy grecko - katolickiego Antiochii. Artykuł napisany jest z punktu widzenia katolickiego, ale odbiega on daleko od szerzenia nieuzasadnionych nadziei, jakoby zjednoczenie Kościołów było rzeczą łatwą i w najbliższym czasie osiągalną. Oto obszerne wyjątki, z którymi warto się zapoznać:

„Idea zjednoczenia również przeżywa swój głód, głód, który drąży wielu gorliwych, nawet w tej małej choćby mierze, w jakiej gorliwość nasza pozwala nam objąć ten ideał. Idea ekumenizmu staje się dla niektórych dusz wprost natarczywą koniecznością, a ponieważ zjednoczenia chrześcijaństwa nie udaje się osiągnąć, sama idea staje się niebezpieczeństwem — pokusą. W pewnych wypadkach może nastąpić zniechęcenie. Gdyż niejednokrotnie myśli się o tym zjednoczeniu tak, jak marzy się o powszechnym pokoju czy atomowym rozbrojeniu. To znaczy, że nie przestając go pożądać, traktuje się je w pewien sposób jak sen piękny, ale nieziszczalny. W modlitwie prosimy o zjednoczenie, uczestniczymy w akcjach do tego zjednoczenia zmierzających. A to jeszcze do niczego nie zobowiązuje. O ile oczywiście nie utwierdzimy się w przekonaniu — wzorem arabskiego myśliciela — że podziały na ziemi są nieuniknione, gdyż wynikają jakoby z Bożego zamysłu“.

„Idea zjednoczenia wymaga od nas głębokiego przywiązania do Kościoła, co wyklucza samo przez się postawę tych, którzy może zbyt łatwo przechodzą wobec rozbieżności doktrynalnych, urzeczeni obrazem ponadwyznaniowości, która kusi możliwością przynależenia do każdej społeczności chrześcijańskiej, nie służąc w istocie żadnej z nich. Ale idea zjednoczenia wyklucza także sztywny integryzm tych, którzy chcą być bardziej katoliccy niż sam Papież. Ekumenizm powinien nam pozwalać jasno widzieć zarówno naszą odpowiedzialność za to co dzieli dziś, i za to, co podzieliło kiedyś, jak i z drugiej strony — wkład doktrynalny i duchowy innych wyznań, ich własne charyzmaty i to bogactwo jakie niosą zarówno w płaszczyźnie ludzkiej, jak i nadnaturalnej, a którego pozbawiają społeczność katolicką oddzielając się od niej.“

„Niebezpieczeństwo traktowania jako podboju, niemal osobistego zwycięstwa nad innymi. Czyż nie jesteśmy skłonni cieszyć się nieraz mniej tym, że zwycięża prawda, niż z tego, że jest to nasze osobiste zwycięstwo?“

„Iluż jest katolików, iluż chrześcijan, którym należałoby przypomnieć słowa Magdaleny: „Wzięto Pana mego i nie wiem, gdzie go położono“. Oddajmy Zbawiciela światu i usuńmy się. Nikt nie chce, aby usunął się Pan, ale wielu chyba słusznie pragnie, abyśmy my się usunęli.

Zjednoczenie nie spadnie z nieba. Zjednoczenie nie jest sprawą niepodzielną. Każdy przejaw tendencji ku zjednoczeniu ma wartość sam w sobie. Absolutna i nieodwołalna jedność nie jest osiągalna chyba na tej ziemi. Nawet gdyby wszyscy chrześcijanie zjednoczyli się dziś, to istnieje wiele podstaw do tego, aby sądzić, że zaistnieje między nimi nowy podział. Gdyż brak jedności jest jak grzech. Jest poprostu grzechem.

I tak, jak walczymy codziennie z grzechem, nie będąc wcale przekonani, iż wykorzenimy go absolutnie, tak samo musimy i będziemy zwalczali podział, nie żywiąc pewności, iż w sposób absolutny i na zawsze wykorzenimy go z naszego świata.

Zjednoczenie nie jest budowlą z prefabrykatów. Musimy je budować kamień na kamieniu“.

To są uwagi, które i nam protestantom mogą się przydać z tym jednakże, że tam gdzie mowa jest o katolikach wstawimy siebie i naodwrót. Stosując tę metodę kończę apelem O. Edelby, ale już skierowanym do protestantów: „Z miłości dla Prawdy i z miłości do naszych „b r a c i k a t o l i k ó w“, „którym naszą miłość musimy przecież świadczyć, nie rzucajmy się w idee ekumenizmu na oślep, mając oparcie jedynie w dobrej naszej woli“...

(r)

Czytelniku!
Czy opłaciłeś
już prenumeratę
za r. 1962?

List do Redakcji

Po przeczytaniu listu do Redakcji, podpisanego „Tess", pragnąłbym wypowiedzieć parę uwag, które nasuwają mi się w związku z poruszoną tematyką.

Podpisuję się bez zastrzeżeń pod wszystkimi postulatami zgłoszonymi przez autora. Wydaje mi się jednak, że najistotniejsze są tu dwa problemy, które gnębią chyba ogół protestantów polskich i wymagają pogłębienia, sprecyzowania i publicznej dyskusji.

Sprawa pierwsza, to nasza bierność w propagowaniu, wyjaśnianiu i ożywianiu idei reformacyjnej. Obserwując stan dzisiejszy, odnosi się niekiedy wrażenie, że jeśli nam oczywiście „na czymś zależy", to najwyżej na utrzymaniu i „duchowej obsłudze" tego stanu posiadania dusz, które nam pozostały po katakliźmie wojennym. Konflikt protestantyzmu polskiego — moim zdaniem — polega na zestawieniu dwóch momentów. Z jednej strony wewnętrzne przekonanie o słuszności naszego poglądu na istotę chrześcijaństwa i Kościoła oraz pamięć bogatej przeszłości, z drugiej zaś — obecna stagnacja, zobojętnienie i brak energii przy wytwarzaniu nowych, z reformacyjnej idei wyrastających wartości. Ten stan rzeczy nie byłby, być może, bardzo niepokojący w warunkach szwedzkich, duńskich, czy norweskich, jest jednak bardzo szkodliwy w naszym położeniu... Dla wzmocnienia naszego ruchu winniśmy połączyć nasze najlepsze siły, serca i umysły. Na nowo przemyśleć najważniejsze zagadnienia i dla dobra ogółu propagować je śmiało i gorliwie. Defensywa nie jest właściwą metodą działania. Akcja ta, jak to słusznie podkreśla autor listu, powinna być „ruchem naprawdę żywym i twórczym i nie powinna trzymać się zbyt niewolniczo pewnych nawyków i wzorów". Ta akcja wymaga jednak zespolenia wszystkich środków jakimi możemy dysponować. I tu dochodzę do drugiej — moim zdaniem — najważniejszej sprawy, którą poruszył „Tess". Konieczna akcja wymaga przede wszystkim zespolenia wszystkich odłamów protestantyzmu polskiego. To, co boli autora listu, boli również i mnie, boli chyba wszystkich naszych wyznawców, którym rzeczywiście „na czymś zależy". Niezwykle smutnym faktem jest, że my — wierni ideom, z których zrodziły się hasła ekumeniczne — my sami wciąż w naszym działaniu jesteśmy podzieleni na większe lub mniejsze odłamy. Jeśli rzeczywiście trudno nam przełamać i wyrzec się pewnych różnic dogmatycznych (niech o to martwią się teolodzy, oni za ten stan ponoszą w pierwszym rzędzie odpowiedzialność, ja nie jestem teologiem), jeżeli słusznie uważamy, że są i mogą być różne drogi prowadzące do Chrystusa i zbawienia, jeśli uważamy, że istotne jest prawdziwe braterskie zjednoczenie i współpraca, a niekoniecznie organizacyjna i formalna jedność — to dlaczego my wspólnie, wszystkie Kościoły i zbory protestanckie w Polsce nie zawrzemy nowej Ugody, wzorem Ugody Sandomierskiej z 1570 r., nowego ścisłego przymierza i porozumienia dla wzmocnienia naszych rozproszonych sił?

Poza wartościowym efektem emocjonalnym i duchowym, dałoby to praktyczne i realne korzyści wszystkim Kościołom, pozwalając do poważnej pracy wykorzystać wszystkie jednostki zdolne i energiczne, nie pozwoliłoby marnować ich w często bezskutecznym zmaganiu się w poszczególnych grupach. Naszym dalszym celem powinien być polski narodowy zjednoczony Kościół ewangelicki...

Poza tym ważną jest rzeczą, by czynniki kierownicze poszczególnych kościołów wsłuchiwały się uważniej w głosy ludu kościelnego, który również o wielu sprawach myśli i ma swoje zdanie. Inne, dalsze uwagi pozwolę sobie przesłać później. Nurtuje mnie np. sprawa ankiety na różne tematy naszej kościelnej rzeczywistości.

Z poważaniem

„H. S."

Czytelników „JEDNOTY" zawiadamiamy, że dnia 10 kwietnia br. o godzinie 17 odbędzie się w sali kameralnej Filharmonii Narodowej w Warszawie przy ul. Jasnej

PUBLICZNE ZGROMADZENIE EKUMENICZNE

Temat głównego referatu:

„Polskie Kościoły Ekumeniczne wobec aktualnych zagadnień chrześcijaństwa".

W programie przewidziane są również przemówienia przedstawicieli Kościołów, zrzeszonych w Polskiej Radzie Ekumenicznej.

Wstęp wolny.

KOMUNIKATY LOKALNE

PORZĄDEK NABOŻEŃSTW

Parafia Ewangelicko-Reformowana ul. Świerczewskiego 74	Parafia Ewangelicko-Augsburska św. Trójcy, Plac Małachowskiego 1
11.3.62. (Niedz. Invocavit)	**11.3.62. (Niedz. Invocavit)**
godz. 11 — nabożeństwo z Kom. św. — **Ks. Z. Grzybek**	godz. 11 — naboż. z Kom. św. — **Ks. R. Trenkler**
18.3.62. (Niedz. Reminiscere)	**18.3.62. (Niedz. Reminiscere)**
godz. 11 — nabożeństwo — **Ks. J. Niewieczerzał**	godz. 11 — naboż. z Kom. św. — **Ks. Z. Michelis**
25.3.62. (Niedz. Oculi)	**25.3.62. (Niedz. Oculi)**
godz. 11 — nabożeństwo — **Ks. J. Niewieczerzał**	godz. 11 — naboż. z Kom. św. — **Ks. R. Trenkler**
1.4.62. (Niedz. Laetare)	**1.4.62. (Niedz. Laetare)**
godz. 11 — naboż. z Kom. św. — **Ks. J. Niewieczerzał**	godz. 11 — naboże. z Kom. św. — **Ks. Z. Michelis**
8.4.62. (Niedz. Judica)	**8.4.62. (Niedz. Judica)**
godz. 11 — nabożeństwo — **Ks. Z. Grzybek**	godz. 11 — naboż. z Kom. św. — **Ks. R. Trenkler**

★

UWAGA. W każdy wtorek o godz. 18-ej nabożeństwo pasyjne w kaplicy .

★

UWAGA. Przed każdym nabożeństwem o godz. 10,45 spowiedź. W czasie pasyjnym w każdy piątek o godz. 18 odprawiane są w kościele nabożeństwa pasyjne.

W niedzielę dnia 25 marca br. o godz. 17 odbędzie się w sali parafii **ewangelicko-augsburskiej św. Trójcy przy ul. Kredytowej 4**

WIECZÓR PASYJNY

na którym Ks. sen. Ryszard TRENKLER wygłosi odczyt pt. **„PROCES JEZUSA".**

W Niedzielę Palmową tj. dnia 15 kwietnia o godz. 17 odbędzie się w kościele **ewangelicko-augsburskim św. Trójcy (Plac Małachowskiego 1)**

KONCERT MUZYKI RELIGIJNEJ

W programie: utwory organowe, występy połączonych chórów i solistów. Szczegóły w programach, które będzie można nabyć przed koncertem w kościele.

WYDAWCA: Konsystorz Kościoła Ewangelicko-Reformowanego w PRL
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Świerczewskiego 76a, tel. 31-23-83
REDAGUJE KOLEGIUM: Redaktor Naczelny — Ks. Jan Niewieczerzał
Z-ca Red. Nacz. Ks. Ryszard Trenkler
PRENUMERATA: rocznie 48 zł, półrocznie 24 zł, kwartalnie 12 zł,
numer pojedyńczy 4 zł.
Konto PKO Warszawa — 153-7-905-005
Do nabycia również we wszystkich placówkach Kościoła
Zakł. Graf. RSW „Prasa", W-wa, Smolna 12. Nakł. 2000, obj. 3 ark. druk. Zam. 316. H-18.